Nr. 38. Poznań, Niedziela 16go Grudnia 1894 r. Rok I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Przegląd Poznański" wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

Czas odnowić przedpłatę.

TREŚĆ.

OD REDAKCYI.

Moment jeszcze — a skona rok 1894. W takich chwilach ludzie wstecz zwracają źrenice swoje i obliczają plony całorocznej pracy, trudy życiowe, kaprysy losu i zdobycze własnych wysiłków. Nam dziewięciomiesięczne istnienie niespodzianek żadnych nie złożyło w dani. Rozpoczynając wydawnictwo „Przeglądu Poznańskiego", zdawaliśmy sobie dokładnie sprawę z warunków, wśród których żyć i walczyć będziemy, i tajemnicą dla nas nie było, że przeciw nam dwóch stanie wrogów do śmiertelnej walki: Duch reakcyjny zaboru pruskiego i ta bezduszna, senna apatya, która od lat kilkunastu mgłą zasłoniła umysły nasze. Na wielkim obszarze ziem polskich nie ma istotnie drugiej dzielnicy, gdzieby miłość dla sztuki i piękna, interes dla literatury i nauki ujawniły taki stopień zamarcia, a całe życie umysłowe zamkało się w zaczarowanem kole politycznych lub społecznych aktualności o ciasnym, prowincyonalnym zakroju. W długim szeregu artykułów wykazywaliśmy przyczyny tej atmosfery, która nas ogarnia, i bez względu na krzykliwy protest przerażonego niezwykłą krytyką społeczeństwa rozpoczęliśmy dzieło budzenia. Nie skarżymy się na sceptycyzm, którym powitano narodziny naszego pisma, nie skarżymy się na pesymizm tych grup i jednostek, które wśród walki rzucały nam bezustannie okrzyk zwątpienia: Tu nic nie warto! — nie skarżymy się na wrogie stanowisko gerontów społeczeństwa, upatrujących w samodzielnej akcyi młodszej inteligencyi zamach na długoletnie przywileje „starych" i pytających w tej lub owej formie założycieli „Przeglądu": „Kto list żelazny im wręczył?" — nikt z nas nie oczekiwał innego przyjęcia, nikt się nie zdziwił tym chórom niechęci. Tak być musiało, a grunt, z którego wrogie ku nam popłynęły głosy, jest najwymowniejszym uzasadnieniem bytu naszego, najdonioślejszym motywem powstania.

Przejęci głęboką wiarą w świętość posłannictwa naszego i głęboką miłością wielkiej idei humanitarnego i społecznego postępu, rozpoczęliśmy dzieło nasze, a niezrażeni żadną opozycyą, spoglądamy dziś z pewną dumą radosną na dzień wczorajszy i z głęboką nadzieją w noworoczne jutro. W chwili obecnej pismo nasze opiera się już na szerokich kołach polskiej inteligencyi, a niekłamane sympatye i gorące słowa uznania, któremi nas darzy grono czytelników. najwybitniejsi reprezentanci literatury ojczystej, prasa warszawska i galicyjska, oraz niezależne piśmiennictwo poznańskie, są owym promieniem słonecznym, bez którego życie i walka stałyby się męką. Na całym obszarze pruskiego i austryackiego zaboru jesteśmy jedynym *tygodnikiem* o charakterze literackim, politycznym i naukowym, a nie krępowani więzami cenzury; zgromadziliśmy w krótkim przeciągu czasu najdzielniejsze siły literatury ojczystej pod sztandarami „Przeglądu".

Nazwiska *Bartoszewicza, Chmielowskiego, Jellenty, Żeromskiego, Krzywickiego, Walewskiej, Marrené, Ceysingerówhej, Jelinka, Maryi Rodziewicz, Kozłowskiego, W. Bogusławskiego, Nałkowskiego, Moszczeńskiej, Kasprowicza, Daszyńskiej, Potockiego i t. d.* zapisały się szeregiem cennych prac literackich i korespondencyi w łamach pisma naszego, a cyfra tych nazwisk, otoczonych wybitnem uznaniem poważnej krytyki, rośnie z dnia na dzień w szerokiem kole współpracowników „Przeglądu". Nadto otworzyliśmy łamy pisma naszego dla młodszych sił literackich, uwzględniając w pierwszym rzędzie publicystów miejscowych, a spostrzegamy z radością, że w tym nieznanym, maską anonimu osłoniętym tłumie znajdują się iskry prawdziwych talentów. Budzić uśpione siły umysłowe w kresowych dzielnicach, — udzielać głosu tym młodym zastępom, którym nieufność, ciasna koteryjność, lub po prostu brak zmysłu krytycznego u seniorów dziennikarstwa zamykały redakcyjne podwoje, — powołać do nowego życia miłość piękna, prawdy i swobody w społeczeństwie naszem i stworzyć zastęp dzielnych szermierzy pióra, służących wiernie tym u nas niestety wyblakłym ideałom, oto cele słoneczne, do których w Nowym Roku dążyć będziemy niezmiennie.

Program nasz polityczno-społeczny, rozwinięty w całym szeregu wstępnych artykułów i feljetonów. w przyszłości żadnym nie ulegnie zmianom. Opierając się na postępowo-demokratycznym fundamencie, zwalczać będziemy z całą energią reakcyjne zakusy obecnych kierowników opinii publicznej i strzedz społeczeństwo przed zawrotnym szlakiem, na który wiedzie je krańcowa polityka „nowych horyzontów". W dziedzinie etyki społecznej dewizą naszą pozostaną nadal słowa: „Bez obłudy!", a lubo w kraju, gdzie rozplenił się kult mierności, zaściankowej pruderyi, fałszu i nepotyzmu, hasło to legiony wrogów nam zgotować może, — nie zniknie ono ani na chwilę z programowych postulatów naszych. Oprzeć egzystencyę „Przeglądu" na schlebianiu społeczeństwu, byłoby łatwem i wdzięcznem zadaniem, ale zadania tego ten jedynie podjąć się może, dla kogo prasa równa się targowisku.

Z tem niezłomnem przekonaniem w duszy wstępujemy w Rok nowy, a ożywia nas silna wiara, że dotychczasowe sympatye, któremi nas otoczyła inteligencya zaboru pruskiego nie zginą, lecz spotężnieją. My z naszej strony dołożymy wszelkich starań, aby rozmaitością i treścią artykułów zadowolnić najwybredniejsze wymagania i pozostać nadal wiernem zwierciadłem życia europejskiego. Uwzględniając jednak w pierwszym rzędzie sprawy szerszej i ściślejszej ojczyzny naszej, zaprowadzimy w roku 1895 stałą rubrykę p. t. „*Przegląd prasy polskiej pruskiego zaboru.*" Rubryka ta będzie miniaturowem odbiciem dziennikarstwa naszego, a podając w dosłownem brzmieniu lub w streszczeniu głosy poznańskich, zachodniopruskich, warmijskich i szląskich czasopism, stanie się niewątpliwie ulubionym rozdziałem informacyjnym dla czytelników „Przeglądu". Z noworocznych tajemnic odcinku nie uchylamy na razie zasłony. Zapewniamy jednak, że w biurku naszem spoczywają utwory najwybitniejszych polskich i obcych pisarzy.

POLITYKA.

Listy z Petersburga.

VIII.

Petersburg 4 grudnia 1894 r.

(Rozczarowanie. Amnestya. Nasza dyplomacya. Protest Finlandyi, skutkiem uwieńczony).

Po stosunkowo dość wielkiem ożywieniu nastała prawie zupełna cisza. Car pożegnał już wszystkich swoich zagranicznych gości, z których najdłużej bawili angielscy książęta, i wyjechał z młodą małżonką na jakiś czas do Carskiego Sioła, o godzinę jazdy do Petersburga. Jest to bardzo naturalne, że młody monarcha po tylu przyjęciach i uroczystościach uczuł potrzebę chwilowego odpoczynku; jednak tutejsza publiczność, podniecona gorączkowem oczekiwaniem prędkich i ważnych zmian, nie może się powstrzymać od pewnego rozczarowania. Pocieszają się wprawdzie nadzieją, że po nowym roku rzeczy pójdą inaczej, że jest to tylko chwilowa stagnacja, ale już poczynają wątpić, czy nie skończy się szybko na pozorach liberalizmu, potrzebnych dla zdobycia sobie popularności. Pozory te bowiem istnieją w dalszym ciągu i popularność młodego cara u ludu ciągle rośnie. Ludek z wielkiem ożywieniem opowiada sobie, jak car, przejeżdżając przez Newski prospekt, zatrzymał się na rogu ulicy i kupił gazetę, przyczem jak prawdziwy przeciętny przechodzień, czekał cierpliwie na wydanie reszty z 20 kopiejkowej monety, to znowu jak kupował na Morskiej rękawiczki i targował się o cenę i t. d.

Ale na tem i koniec. Wszyscy ministrowie siedzą na swoich miejscach, i nawet pan Pobiedonoscew o tyle nie stracił nic ze swego znaczenia, że jak utrzymują, był autorem ostatniego manifestu. Przynajmniej upatrują jego rękę w tej części manifestu, która dotyczy politycznych przestępców. Jak wiadomo, olbrzymia większość politycznych procesów nie przechodzi przez procedurę sądową, lecz bywa rozstrzyganą drogą administracyjną. Minister spraw wewnętrznych, czyli właściwie mówiąc dyrektor departamentu policyi wysyła bez sądu i obrony na Sybir, do północnych gubernii Rosyi, albo zamyka do celkowego więzienia z przymusową pracą fizyczną na czas od sześciu miesięcy do ośmiu lat. Otóż z tej kategoryi przestępców żaden dotychczas nie został uwolniony, gdy tysiące kryminalistów wypuszczono na wolność nazajutrz po ukazaniu się manifestu. Odnośne władze, nagabywane przez rodziny administracyjnie skazanych o zastosowanie do nich manifestu wykręcają się sianem, tłomacząc się niejasnością miejsca, gdzie jest mowa o tego rodzaju przestępcach. Zresztą znalazł się jeden dygnitarz w ministerstwie sprawiedliwości, który otwarcie powiedział, że manifest nie będzie stosowany do administracyjnie skazanych, a to na tej podstawie, że samo puszczenie sprawy na drogę administracyjną jest już łaską, a dwóch łask za wiele dla tych, co się porywają na istniejący porządek rzeczy w Rosyi, tym najlepiej rządzonym zakątku pod słońcem, W każdym razie rozżalenie wśród publiczności jest wielkie i kwestya „administacyjna“ będzie pierwszą sprawą, która może na serjo pokłócić pewną część społeczeństwa z młodym monarchą. Oczywista rzecz, że cała ta sprawa wpadła w ręce ludzi, którym zależy na tem, żeby siać wiatr, chociaż nie oni będą zbierać burzę.

Nasza tak zwana deputacya już opuściła gościnne mury nadnewskiej stolicy, oczarowana grzecznością młodej pary cesarskiej. Na tle tej grzeczności pozostały naturalnie pogłoski o pewnych ulgach dla Polaków, o zmianie polityki na kresach, a szczególnie i przedewszystkiem o dymisyi jenerała Hurki i zastąpieniu jego przez hr. Szuwałowa, obecnego posła rosyjskiego w Berlinie. Są tutaj ludzie, którzy przysięgają, że Hurko już podał się do dymisyi; jest to bezwarunkowo wiadomość przedwczesna, chociaż jest w niej trochę prawdy. Dymisyi jeszcze nie ma, ale jest grunt dla niej polegający na coraz to mocniejszem przekonaniu, że człowiek, co nigdy nie był niczem innym jak tylko żołnierzem, nie może rządzić takim krajem jak Polska. To przekonanie zresztą powstaje tutaj wcale niezależnie od działalności panów członków deputacyi, którzy właściwie mówiąc, nie zrobili nic, bo przecież trudno uważać za akcyą polityczną uroczyste oświadczenie lojalności quand même. Przeciwnie z rosyjskiego punktu widzenia taka przesadzona lojalność może być uważana za dowód, że knut moskiewski jeszcze się nie dostał do żywego mięsa i że polskie grzbiety mogą jeszcze służyć przez jakiś czas za pole dla politycznych eksperymentów.

Z prawdziwą przyjemnością przeczytaliśmy w waszym piśmie odpowiedź pana Suli na list „Polki“ w kwestyi żałoby narodowej. Z trudnością przyszłoby uwierzyć, że zacna myśl uwydatnienia w ten tak zupełnie spokojny i bezpieczny sposób naszego smutku z powodu stuletniej rocznicy trzeciego rozbioru, znajdzie przeciwników w polskiem społeczeństwie. A jednak nieprawdopodobne jest prawdą. U was, jak widać, rej w opozycyi wiedzie „Dziennik Poznański“, u nas prasa nie podniosła jeszcze tej kwestyi, ale jak przyjdzie na to czas, to naturalnie pierwsze skrzypce w koncercie „głosów wrogich“ budzeniu ducha będzie piastować „Kraj“ (*sui generis braciszek “Dziennika“*). Dziwna ta febra dyplomacyi, na którą jak powiadacie, choruje wasze społeczeństwo, akurat tak samo, jak i najbardziej wpływowe koła polskie w Warszawie i Petersburgu. U normalnych narodów jest dyplomacya, ale taka. która się opiera na zupełnej gotowości narodu, poprzeć w danym razie usiłowania dyplomatów jakąś energiczną akcyą. U nas nasi stańczycy przywłaszczywszy sobie monopol prowadzenia dyplomatycznych tranzakcyi, nie chcą znać po za sobą nikogo, co ma inne niż oni wyobrażenie o skuteczności dyplomacyi, nie opartej na jakiejś żywej sile. Zamiast więc cieszyć się z tego, że istnieją w kraju prądy opozycyjne i opierać na nich swoją politykę jako na sile, z którą wróg bądź co bądź się liczy, oni z zajadłością ciskają się na te objawy żywej siły i wołają: nie budźcie ducha! bo to się nie podoba w Petersburgu, Wiedniu, albo Berlinie. Zgoda na to, że się to nie podoba, ale też nam nie idzie o podobanie się wrogowi, bo nie tędy droga do polepszenia naszego bytu. Reformy i ustępstwa nie spadają z wysokości tronów jako nagroda za dobre sprawowanie; ustępstwa te bywają wymuszone na rządach drogą dyplomatycznej akcyi, opartej na mniej lub więcej energicznej postawie narodu. Tą drogą szedł niegdyś ojciec Stańczykostwa Wielopolski; ale dzisiejsi jego naśladowcy tego nie rozumieją, lub też może tylko po prostu nie chcą z powodów, o których trudno jest mówić, nie ryzykując wpaść na tory zbyt osobiste.

Doskonały przykład jak trzeba łączyć dyplomacyą z czynną opozycyą dała nam w tych czasach Finlandya. Dopiero teraz wyjaśniły się szczegóły tak zwanego finlandzkiego incydentu z przysięgą na wierność carowi Mikołajowi. Jak wiadomo za panowania Aleksandra IIIgo zostało postanowione w zasadzie stopniowe zniesienie finlandzkiej konstytucyi. Zaczęto od drobnych dokuczań i ograniczeń, zupełnie jak było u nas między 1815 i 1830 rokiem. Ponieważ jednak większa akcya była niemożliwą wobec manifestu, którym Aleksander III przyznał finlandzką konstytucyą po swojem wstąpieniu na tron, więc musiano czekać jakiejś szczególnej okazyi, aż doczekano się śmierci cara. Ten wypadek był bardzo dogodnym, bo dość było, żeby młody car nie wydał oddzielnego manifestu dla Finlandyi, a miałby rozwiązane ręce. I rzeczywi-

---

1)

MARYA RODZIEWICZ.

RYNGRAF.

NOWELA.

Mieszkali o miedzę; osieroceni wcześnie, spojeni braterstwem od pacholąt, młodzieńcami spojeni jeszcze ściślej związkiem serc, który ich miał połączyć w jedną rodzinę.

Młodszy miał babkę starą, spartańskich cnót kobietę, wzrosłą w chwale, dojrzałą w przewrotach, osiwiałą we łzach i krwi.

Z rodziny jej, co dębem było, padło od gromów, ognia lub niszczącej siekiery; co bluszczem, zwiędło i uschło, strawione tęsknicą, zawodem, troską beznadziejną.

On jej został. Młody i piękny, i siostra jego podlotek, dojrzała nad lata, gorącem, a krwawem tchnieniem owego wieku.

Starszy, w pustym też domu siostrę jedyną chował, co mu została jak skarb wątły, a drogi, zdany przez rodziców pomarłych.

Gotowały się gody weselne w ich sercach i domach. W jeden dzień u ołtarza stanąć mieli, w jeden dzień szczęściem zaludnić oba stare dwory modrzewiowe.

I oto z oddala dźwięk trąbki ich zaleciał. W kraj cały, w kąty i zakąty dźwięk biegł z pamięcią ojców synom zrosły, w tradycyi każdego serca świeży, i pobudkę, wichrami gnaną, niósł młodym na inne, szersze, świetniejsze gody i wesela... I oderwały kobiety od serc swoich, co miały drogiego, i wstrząsnęli się młodzieńcy pod warem ojców krwi i zerwały się młode orlęta do lotu w stare szlaki. Nikt nie jęczał, nie chełpił się z ofiary. Bo naprawdę nie własna wola ich wiodła, ale wiekowe dziedzictwo, nie jak ludzie szli, ale jak siła tajemnicza, wrażona w miljony istot jednem czarodziejskiem imieniem: Bonaparte!

Tylko gdy się żegnali, staruszka ryngraf, co może Cecorę pamiętał, dała wnukowi i dwiema łzami go pokropiła:

— Tyś moja cała wiara i nadzieja! Kamień węgielny pod budynek spustoszonego domu naszego. Idź, a nie wracaj bez chwały i bez tego ryngrafu, co krwi morza widział, a sromu nigdy!

A narzeczona szkaplerzyk mu dała i białemi ramiony u szyi zawisłszy, szeptała, tłumiąc łkanie:

— O sercach, co tu pana wspominać będą, proszę pamiętać i wracać do swoich wiernym i prawym. U Boga ja wymodlę, by was kule mijały!

A potem staruszka i tego drugiego, co miał jej wnukiem zostać, do piersi przygarnęła i głowę krzyżem znacząc, prosiła:

— Pilnuj mi Stacha i ile mocy osłaniaj. Wszystkie moje łzy on z sobą zabiera, żeby zmazać, i wszystkie radości i kochania, żeby powrócić: on mi jeden, jeśli go co złego spotka, ratuj! Tyś starszy i hartowniejszy, jak ojcu ci go oddaję, odprowadź mi go chwalebnym! Przysięgnij!

— Przysięgam, że go wam wrócę takim, jakim chcecie, albo sam z nim padnę.

— Dokąd pan pójdzie i duch mój będzie, a gdzie pan padnie i memu życiu kres będzie. Nie ginie, kto umiera, ginie, kto się podli! Pan nie zginie i Stach żyw będzie! — mówiła mu narzeczona.

— Nie zginiemy! — potwierdzili uroczyście młodzi.

Siwe koniki zrywały się do biegu, a trąbka grała, grała po rozgłogach, po gajach, po strugach, w sercach całej młodzi. Zerwali się i oni, dosiedli wierzchowców, raz jeszcze na strzemionach stojąc, obejrzeli się na swoje zagrody i kochania i pognali do komendy na gody! Ej gody to były, gody!

Wszerz i wzdłuż Europy, przez piaski Brandenburgji, przez gallów bogate ziemie, pod słońcem Italji, aż tam za śnieżne Pireneje, między winnice i granaty, stare klasztory, maurytańskie zamki i czarnookie dzieci cudnej Iberji.

W pierwszym pułku ułanów, w pierwszym szeregu szli obok siebie zawsze. Nie rozdzieliło ich nic, ani trudy marszu, ani dym potyczek,

ście uradzono nie wydawać oddzielnego manifestu z potwierdzeniem konstytucyi, a zaprosić Finlandczyków do składania przysięgi na mocy ogólnego manifestu wydanego dla całej Rosyi. Manifest ten został posłany do Helsingforsu i w istocie wojsko i urzędnicy złożyli natychmiast przysięgę; cała jednak ludność odmówiła przysięgi dopóki car nie potwierdzi konstytucyi. Minister dla spraw Finlandyi udał się do Liwadyi i przedstawił carowi, że w obec takiego zachowania się ludności są tylko dwie alternatywy: Uznać protest za insurekcyą i zająć kraj wojskiem, albo wydać oddzielny manifest. Mikołaj II-gi wybrał drugie i wtedy Finlandya złożyła przysięgę.

X.

Przegląd prasy słowiańskiej.

„*Slovenski Narod*“, główny organ stronnictwa młodosłowińskiego pisze o stosunku młodosłowińców do partyi starosłowińskiej:

„Nasz stosunek do partyi starosłowińskiej jest całkiem inny aniżeli dwóch wielkich stronnictw czeskich. Kiedy Staroczesi i Młodoczesi otwarcie przyznają się do zasad liberalnych, wobec czego odczuto tam potrzebę założenia stronnictwa trzeciego, klerykalnego, z „Czechem“ jako wiernym organem, u nas Młodo- i Starosłowińcy są stronnictwem katolickiem. Wśród Słowińców nie ma tej inteligencyi miejskiej jak w Czechach, gdzieby w takich środowiskach jak Praga i Berno inteligencya i jej przekonania ton nadawały prasie. Lublana i kilka miasteczek kraińskich mają wśród inteligencyi niewiele liberałów, gdyż każdy z nas wie, że odezwanie się liberalniejsze uniemożliwiłoby zgodę naszę i pracę wewnętrzną. Wśród Młodosłoweńców liberałów nie ma. Każde pismo słowińskie przyznaje się otwarcie do przekonań katolickich i w duchu katolickim pisze.

„Redaktorzy „Slovenaca“ sami o tem wiedzą i charakteru katolickiego nam nie odmawiają.

„Już to samo jest wskazówką, jakie zasady wyznaje stronnictwo starosłowińskie, jakie jest jądro ich programu. Starosłowińcy, których przywódzcy są duchownymi, opierają swą siłę na ludziach mniej pod względem narodowym oświeconych; ich głowa, biskup lublański dr. Misznje otwarcie dąży do tego, aby indyferentyzm narodowy owładnął ludem, a „Slovenec“ jego narzędzie umyślnie stara się osłabić znacznie i wagę ruchu narodowego.

„Mówią nasi duchowni: Wolelibyśmy, aby biskupem był narodowiec, ale choć nim patryota nie jest, to mu tego za złe brać nie możemy. Dr. Misznje jest również pasterzem niemieckich owieczek i jako taki nie może wysuwać się naprzód. Stronnictwo starosłowińskie nie jest więc stronnictwem narodowem, lecz uważać je należy za ruch reprezentujący indyferentyzm narodowy, który jawnie dąży do poddania się germanizacyi.

„Na szczęście rozłamu tego nie ma dotąd wśród Słowińców styryjskich i karyntyjskich, — tam są tylko Słowińcy i renegaci. Nie ma atoli wątpliwości, że i tam rozłam ten powstanie, gdy ruch narodowy tak spotężnieje, iż zacznie stawiać opór zachciankom germanizacyjnym duchownych renegatów, którzy germanizując lud, chcą sobie zaskarbić łaski władzy. Na razie jest zadaniem najgłówniejszem partyi narodowej, aby wykazać jasno cele Starosłowińców i zmusić ich do odkrycia przyłbicy.“

* * *

Moskalofilski „*Il Pensiero Slavo*“ w taką wdaje się polemikę z „Crvená Hrvatską“, organem partyi chorwackiej Starczewica. Polemika ta dosadnio charakteryzuje jaskrawy moskalofilizm:

„Crvena Hrvatska“ denuncyuje nasz organ, który w Tryeście walczy z irydentą o prawa chorwackie, że podkopuje solidarność moralną Chorwatów. „Crvena Hrvatska występuje przeciw Rosyi w obronie Polaków, wykazuje nietolerancyą Rosyan. Snać „Crvena Hrvatska“ zapomina, iż każdy prawdziwy Słowianin (!!!) potępia antisłowiańską politykę Polaków, którzy gotowi są połączyć się każdej chwili z Niemcami, ażeby innych Słowian ciemiężyć (!!!???) Trzy miliony Rusinów w Galicyi są „rajami“ polskiej arystokracyi i polskich żydów“.

„Polska głównie zepsuciem swej arystokracyi upadła — i trzy wielkie państwa rozdzieliły pomiędzy siebie sławne niegdyś królestwo polskie.

„Rosyjska Polska otrzymała od carów różne przywileje (!?) i koronowali się Romanowie koroną Jagiellonów. Polacy z Rosyi zamiast być wdzięcznymi carowi rosyjskiemu za dobrodziejstwa (!!), łączą się z wrogami Rosyi. Widząc to, Rosya wypędziła za granicę i uwięziła znaczną część arystokracyi, aby tym sposobem zapobiedz dalszym polskim intrygom.“

„Crvena Hrvatska“ walczy nietylko przeciw Rosyi, ale i przeciw Czarnogórcom, których nazywa zbójami. Dalej karci Czechów za to, że nie pochwalają polityki stronnictwa prawa. Kończy tak: „Mi Hrvati netrebamo niczyje pomoci, my czesno sami dovinuti se do svoje srece“. (My Chorwaci nie potrzebujemy niczyjej pomocy, my sami dobijemy się do swojego szczęścia.)

„Widać, że dziennik dubrownicki hardo głowę podnosi.

„Oby tak było z naszą samopomocą. Tu wspomnijmy na Rjekę, jak ją nam wydarli Madziarzy. Serce się krwawi na takie wspomnienie. Nasz Osjak prosi rząd, aby na akademii kupieckiej wykładano po niemiecku. W Morawicach otworzono szkołę madziarską. A dziś lękamy się już o naszą stolicę Zagrzeb, bo i tam więcej słyszysz po madziarsku i niemiecku aniżeli po chorwacku. Hrabia Khuen Hedervaty rządzi całym krajem. Większa część naszej inteligencyi prześciga się wzajemnie, jakby się przypodobać banowi chorwackiemu.

„Ten złym duchem naszym, kto radzi zrywać solidarność słowiańską.

„Dubrownicki dziennik powołuje się na Włochy, które Napoleon sam stworzył bez względu na to, iż mogą mu stać się niebezpiecznemi. Nas nigdy, ani Austrya, ani Węgry nie usamodzielnią.“

K.

LITERATURA I SZTUKA.

Nowy dramat Ibsena.

Za miesiąc wyśle Henryk Ibsen w świat ostatni swój utwór — wieść ta lotem błyskawicy obiegła nietylko północne, lecz i zagraniczne koła czytelników. Z większą stokroć starannością, aniżeli zwykle, zachował autor w tym roku tajemnicę co do treści swej pracy. Tytułu jej nie znała, jak utrzymują, nawet pani Ibsen, a tylko kilku najbliższych przyjaciół w Chrystyanii wie, o czem autor mówi w swym najno-

---

ani choroba. W biwaku, po skwarze dziennym, siadali u jednego ogniska i warząc nędzny posiłek rozmawiali o kraju, a zmorzeni trudem usypiali obok siebie w płaszcze owinięci, głowa przy głowie, zawsze nierozłączeni. U tych biwaków Stach rozweselał kolegów żartami i śpiewem. Konstanty dobywał niekiedy z tłomoczka starą książkę, wytartą użyciem, i przy blasku ognia i jasnej nocy czytywał, poważny i surowy, żywoty Plutarcha.

Kochano Stachową żywość i swobodną pustotę, uchylano głowy przed brutusową naturą drugiego! W ogniu bitwy, gdy najeżał pułk lance i, porwany wirem, gnał na baterje i piechotę, przez góry i doliny, przez winnice i rzeki, Stach czerwieniał, dyszał, szalał; Konstanty bladł, z pod szerokiego czoła oczy mu się zapalały dzikiem zarzewiem! Jeden w swym zapale oślepły, kul i śmierci nie czuł i nie widział; drugi — je liczył, ale pogardzał. Jednego dnia awansowano ich na podporuczników, a w tydzień potem — na poruczników. Tegoż dnia w opuszczonej Vencie, gdzie na noc stanęli, znaleziono ukryte wino, chleb, oliwę i mięso.

Urządzono ucztę, Stach w upojeniu radości pił i śpiewał, Konstanty przypatrywał się biesiadzie palił fajeczkę i łagodnie się do przyjaciela uśmiechał.

Z pod rozchylonego munduru na piersi młodzieńca złocisty ryngraf babki przebłyskiwał, a towarzysz w tę pamiątkę zaopatrzony miał widzenie dalekich stron i kobiet trzech, wyczekujących z wielką wiarą ich powrotu.

Przed Ventą, gdzie starszyzna biesiadowała, biwakował pułk, rozrzuciwszy wkoło placówki. Konie chrupały kukurydzę, przy ogniach ruszały się sylwetki szeregowców gwarne, jak rój pszczół.

Głos Stacha rozbrzmiewał daleko legjonową piosenkę.

Dwa czarne punkty były w tym obrazie. Na lewo namiot ranionych, mieszający dysonans wycia i jęków w wesoły gwar i śpiewy, na prawo, pod słodkim kasztanem — gromadki pokaleczonych, powiązanych jeńców. Gierylasy, tłuszcza, różnolita, dzika, błyskająca czarnemi ślepiami w stronę dobytych pałaszy straży.

— Porucznik Konstanty! — zawołał ordynans przez drzwi pokoju, gdzie sztab obradował.

Wezwany wstał śpiesznie i zniknął wewnątrz domu.

— Porucznik Stanisław: Zmieniać patrole!

Piosnka się urwała. Rozległa się komenda, potem brzęk broni i miarowy kłus oddalających się koni.

Biesiada się przerwała. U ognisk milkły i osuwały się do snu sylwetki żołnierzy, tylko okno sztabu świeciło, jak gwiazda stała, i zdaleka dobiegały od placówki do placówki krótkie hasła i tupot wierzchowców. Pułk „piekielny“, jak go zwali hiszpanie, usypiał.

Gdy Stach wrócił, przyjaciel, u ognia wyciągnięty, czytał w swej wytartej książce, jeśli można jeszcze z surowszym wyrazem oczu i ust.

— Coś cię spotkało nieprzyjemnego? — zagadnął Stach, rzucając się na ziemię.

Wlepione w kartę źrenice podniosły się powoli,

Jutro o świcie kazano mi tych wszystkich ludzi rozstrzelać! — odparł spokojnie.

— Co do nogi?

Konstanty głową skinął i począł machinalnie końcem buta poprawiać płonący nawóz.

— Szkoda! Myślałem, że dłużej nam towarzyszyć będą, i że nauczę się od nich trochę języka. To głupio nic nie rozumieć.

— Po co ci ta znajomość? Żołnierz, gdy rozumie przysięgę i komendę, dosyć umie!

— Mnie to bynajmniej nie wystarcza. Chciałbym umieć ich pieśni i módz się rozmówić na kwaterunkach. Mam nawet zdobycz: widzisz, „Don Kiszota“ w oryginale znalazłem na ostatniej kwaterze w Gualeho! Cóż mi z tego! Lada pastuch może mnie zawstydzić. Kiedy wrócimy do swoich. chcę się pochwalić grą na gitarze, fandangiem i mową hidalgów. Pyszne będzie!

— Pochwalisz się krzyżem i ranami. Nie czas nam tu tańczyć i śpiewać, ale słuchać komendy i zbierać wawrzyny. Pastuch cię w tem nie zawstydzi.

— Eh, czytaj już lepiej swego Plutarcha

wszym dramacie. U Gyldendala*), dokąd rękopis został nadesłany, zachowują prawie komiczną tajemniczość. Gdy zapytano, jak wielkim będzie nakład, czego wydawca nigdy nie tai, gdy chodzi o coś podobnie zajmująeego, jak wydawnictwo dramatu Ibsena, najuprzejmiej odmówiono wyjaśnień w tym względzie.

Ale na świecie nie ma już teraz niedocieczonych tajemnic. Kopenhagski dziennik „Politiken“ obwieszcza światu tytuł i treść oczekiwanego utworu. Lugué Poe — mówi sprawozdawca — opowiedział nam, że nowy utwór Ibsena „Rita Almers“ jest jeszcze bardziej zagłębionym w symboliźmie niż poprzednie. W „Mistrzu Solnessie“ wprowadził poeta czytelników swych i widzów do przedsionka symbolizmu, nową swoją pracą wprowadza do wnętrza tajemniczej świątyni.

Sztuka składa się z trzech aktów. Rzecz dzieje się, jak we wszystkich utworach Ibsena w małej mieścinie nad fiordem. Spotykamy tu w pierwszym akcie małżeństwo: Alfreda Almersa i jego młodą żonę, Ritę, której niezwykła postać już od pierwszej chwili góruje ponad innemi osobami sztuki — siostrę męża Astę i Ibsenowskiego przyjaciela domu, Borghejma. Alfred Almers i Rita mają jedno jedyne dziecię, małego chłopczyka imieniem Eyolof. Z dzieckiem tem żyją tak szczęśliwie, jak żyć może dwoje ludzi, gdy miłość, którą czuli dla siebie, nieznacznie przechodzi na trzecią istotę, w której odnajdują swój obraz. Uczucia i myśli rodziców nasycały się, upajały dziecięciem, tak jak powietrze i światło słońca nasyca się i upaja w pachnących listkach kwiatu, by następnie rozproszyć się w przestrzeni.

Lecz do tego spokojnego, zacisznego szczęścia zajrzała groza...

Matka razu pewnego nie przypilnowała dziecka, upadło ono i skaleczyło się tak, że odtąd mnsiało chodzić o kuli. Kula owa, brzydki kawałek drzewa, wysuwa się dziś sztywnie i zuchwale ze zdrowego dziecięcego ciała. Ojciec czuje litość, która zmienia się w głębsze, prawie szalone przywiązanie do chłopca, matka natomiast przejmuje się zgrozą na myśl, iż jej krew i ciało, wspierając się na tym kawale drzewa, będą nadal brały udział w rozwoju świata,,.

I oto w oderwanych, szybkich zdaniach maluje Ibsen, jak zgroza matki, wywołana kulą, cofa się przed wzrastającą tęsknotą za mężem, — za nim, który w swej czułej, omal chorobliwej miłości do dziecka, zapomniał o żonie. I w demonicznym bólu nad tem, co utraciła, spogląda na swego syna „złemi oczami“. Przychodzi do wstrząsającej katastrofy przypominającej widzowi ostatni akt „Mistrza Solnessa“.

Za sceną na moście chłopczyna się bawi. Allmers siedzi zatopiony w głębokich myślach, nadsłuchując od czasu do czasu wesołych okrzyków dziecka, podczas gdy Borghejm rozmawia z panią Allmers.

Pyta ją, czy wierzy w „złe oczy“.

Ona odpowiada mu na to w sposób, który wywoła zgrozę w teatrze: że obecnie wierzy w „złe oczy“, a głównie w „złe oczy“ dziecka. Nagle rozlega się krzyk i wołania, tupanie, skargi i hałas. Dziecko jakieś spadło z mostu i — kula zwolna unosi się po wodzie.

W drugim akcie widzimy męża i żonę siedzących w małej wązkiej dolince nad brzegiem morza.

Patrzą na fiordy i rozmawiają półgłosem o swem utraconem dziecięciu. Matka mniema, iż dziecię leży gdzieś tu w pobliżu, on sądzi, że tak nie jest. Nie, bezwarunkowo, należy pamiętać o tem, jak silnym był prąd w dniu owym, jak woda pędziła wprost ku morzu. I ojciec zagłębia się w myślach. Co się ukrywa w podobnem wydarzeniu? Toć tu nie może być mowy o wypadku? Dlaczego? Dlaczego? — Każdy, znający Ibsena, przejrzał główną myśl utworu. Ojciec, który siedzi z okiem wlepionem w toczące się wody, pytanie swe rzuca het w próżnię, aż wzrok swój przenosi na matkę i wlepia go w jej oczy.

To „złe oczy“.

Ona c h c i a ł a razu jednego, nie zdając sobie wprawdzie jasno sprawy z tych myśli, by miłość jej męża wyrosła z grobu tego dziecięcia — zupełnie tak samo, jak budowniczy Solness chciał, by pożar zajął dom jego.

Tu dochodzimy do drugiego aktu — i pozwalamy czytelnikom domyśleć się reszty...

Bo opowiedzieć koniec — znaczyłoby przytłumić wrażenie, jakie ma sprawić utwór, który niezadługo się ukaże, a to byłoby wprost przeciwnem temu, cośmy wywołać pragnęli. Wiadomem jest, iż tajemniczość Ibsena w roku bieżącym przybrała formy wyzwania względem dobrze zazwyczaj poinformowanej prasy. Ale oto prasa sama stawia granice swej działalności i najsławniejszy z autorów musi przyznać, iż nie było powodu do tak wielkiej tajemniczości i tak wielu śmiesznych cokolwiek środków, przyjętych w tym względzie, jeżeli my, nieprzymuszeni, sami urywamy opowieść na początku trzeciego aktu!

Utwór ten ukaże się jednocześnie w Danii, Niemczech, Francyi, Anglii i Ameryce. Prócz tego będzie tłómaczonym na włoski i hiszpański. Z jak wielkiem zajęciem oczekują nań we Francyi — dowodzi fakt, iż jedno z największych biur teatralnych wysłało parę miesięcy temu specyalnego agenta do Ibsena i proponowało mu nadzwyczaj wysoką sumę za ustąpienie wyłącznego prawa wystawienia sztuki na scenach całego świata. Ibsen wszakże nie zgodził się na to.

P. T.

*) Jedna z największych firm wydawniczych w Kopenhadze.

Prywatne stosunki z muzą.

(Ciąg dalszy.)

Niech tylko stugębna fama wydobędzie za włosy z ukrycia jaki wątpliwy talent, albo rozedmie nad miarę tę lub ową znakomitość, wnet posypią się docinki, szyderstwa i niebawem bohater romansu wygląda, jak n. p. żaba, gdy ją swawolnik rzuci na sam środek mrowiska. Spreparują tak, że zostaną tylko kosteczki i ani atomu ciała ani mózgu. Taki los bywa udziałem Payera, Lindenschmidta, różnych profesorów, wielu niemców i wielu... swoich, jeżli tylko szczęśliwa reklama nacechowała ich jak jodły w lesie, na ścięcie.

Ale w tym lesie artystów są i wybrańcy, którym nigdy włosek z głowy nie spada: to mistrze wytrawni, dla niepoświęconego oka nie odrazu zrozumiali, ludzie, którzy włożyli w pędzel i płótno potężną indywidualność, oryginalną, urągającą szablonowi kompozycyi, jak Bastian Lenage, Alma Tadema, Boeklin, Chełmoński itp.

Moi — „Unioniści“ nie są też ślepi i na własne grzeszki. Umieją oni fabrykować towary z owych jaskrawych tonów, milutkich, albo groźnych motywów, knalleffektów, niezliczonych akcesoryów w formie psów, dzieci, kwiatów, księżyców etc., których stale wymaga tłum „mecenasów“ z Ameryki lub Wschodu ze smakiem tak rozwiniętym, jak smak króla wieprzów z „Barona cygańskiego“. To są „kicze“, których podpis swojski od preparowania nie ocali.

* * *

Idźmy po porządku.

Ten oto w haweloku z oczami szczura i nikczmnego, jakby powiedział p. Zagłoba, wzrostu, to osobnik strasznie czupurny. Spojrzawszy nań, powiesz: „zgniłek“? Ale pomylisz się grubo.

---

i nie bój się o mnie! Wstydu ci nie zrobię i w tyle nie zostanę!

— Wierzę w to, jak w Boga! — odparł poważnie Konstaty.

Ogień przygasł i chłód zdradliwy ogarniał ich znużone członki. Przysunęli się, jak zwykle, do siebie blizko, otulili się płaszczami i usnęli, ogrzewając się wspólnie oddechem. O świcie -Konstanty się zerwał. Obóz jeszcze spał. Dziesięciu ułanów wzięło między siebie jeńców i poprowadziło opodal, za ostatnie straże, między winnice·

Słońce połową tarczy wyjrzało nad ziemią. Pierwszą pobudkę zagrały trąbki sygnalistów; na drodze zadudniały kopyta kurjera, pędzącego cwałem.

Przyparto więźniów do płotu. Patrzyli z osłupieniem na lufy karabinów, opadali ze zmęczenia i strachu.

— Pal! — zakomenderował porucznik.

Kanonada regularna odbiła się o dalekie góry, budząc stokrotne echa. Winne krzaki obluzgała krew, pogniotły je martwe ciała. Rozkaz był spełniony.

Gromadka jeźdźców zawróciła do obozu, gdzie nagle rozległa się inna, pośpieszna pobudka. „Marsz! śpiesznie!“ — zamruczeli ułani zdziwieni. Kurjer ich znowu wyminął. na spienionym, pysznym arabie wracał, oddawszy rozkazy.

Pułk się formował z szybkością i energją sobie właściwą. Konstanty dopadł dowódcy, zdał raport, ostrogami spiął siwego i jak wiatr pognał na swoje miejsce w pierwszym szwadronie.. Oczami poszukał Stacha, skinął mu głową i ruszył z kopyta. Pułk się rozwinął jak barwna wstęga, kamienną drogą w stronę czarnych gór. Z wyżyn tych śledziły jego ruchy dzikie oczy brygantów, z za szczelin i głazów czekały ich długie, błyszczące lufy. Sępy-gierylasy czatowali na tę krew młodą. Po godzinie marszu dosięgli wąwozu, ciasnego jak tunel, wązkiego jak czarna złowieszcza szpara. Z góry poczęły padać strzały, echem zdwojone, groźne.

— Naprzód, dwójkami!

Pierwszy szwadron wpadł w tę przepaść, z nim nieprzerwaną falą płynęli inni. Kule gwizdały gęsto, konie utykały na kamieniach. Siwek Konstantego, trafiony w sam grzbiet, zwalił się, jak rażony piorunem.

Szeregowiec podał mu luzaka. Dosiadł go i ruszył dalej, wciąż trzymając oczy niespokojnie utkwione w Stacha

Padali ludzie i konie, zostawiano trupy i ranionych, nie zatrzymując się na jęki kolegi, na wołanie o ratunek brata. Jak deszcz teraz szły kule, dobrze kierowane, i nagle dojrzał Konstanty, że Stach się zawahał na siodle, do szyi siwego się pochylił, puścił cugle i jak dębczak podcięty zwalił się na bok z głuchem stęknięciem. Sekunda — a przyjaciel już stał nad nim i w ramiona porwał. Ujrzał pierś na wylot otwartą, twarz śmiertelnie bladą, oczy zamknięte. Żył jeszcze, ale słabo. Kolega z siłą nadludzką na konia go wciągnął i na piersiach trzymając, osłaniając ramieniem, ruszył dalej, już na nic niepomny. Za każdą kulą zakrywał go sobą i patrzył w martwą twarz, dłonią tuląc ranę, z której jasna krew buchała nanowo za każdym ruchem. Dobije go prędka jazda!

Porucznik stanął i zsiadł z konia. Dym, wystrzały, groza tej pułapki oślepiała ułanów, pędzili pod gradem ołowiu, byle się prędzej wydostać na czyste pole; nie poznawali nikogo.|

Ranionego jak tłumok wziął na plecy i widząc ścieżynę w skale, kozi ślad zaledwie, ruszył, uginając się pod swym ciężarem, zlany potem, ogłuszony hukiem, mimo, że sam draśnięty w policzek, cierpiał nieznośnie. Gdzie go zaprowadzi ślad, nie wiedział, gdzie ratunek znajdzie, nie kombinował, tylko instynktownie unosił ten skarb sobie zlecony — od kul i śmierci. Ubezsilał go do reszty, a bezwładny raniony ciężył ołowiem. Nie ustawał jednak i szedł cudem, nie tracąc równowagi, sto razy potykając się, nad zawrotnemi głębiami.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Należy bowiem całkiem do rzędu „namiętnych karaluchów“ — namiętnych we wszystkiem...

Mógłby być doskonałym karykaturzystą. Jeżeli obrazy jego wieńczą poród długi i ciężki, to rysunki humorystyczne spadają na marmur stolików i ściany jego pracowni jak ze złotego rogu Amaltei. W tych pośpiesznych improwizacyach wybłyskuje chwilami prawdziwie twórcza fantazya; układa na prędce całe sceny parodjujące świat klasyczny, w których powierza swym kompanom role zawsze zgodne z ich charakterem. Rysuje i maże i znów rysuje, jak gdyby ołówkiem jego kierował sam bożek śmiechu, zerkający jednem okiem na muzę.

Pókim nie wiedział o tem jego wirtuozostwie, sądziłem, że mam przed sobą egzemplarz dosyć pospolitego wśród nas właściciela „szerokiej natury“, wesołego pasażera, który dla odmiany rzucił pałasz, a wziął do rąk paletę i pędzel. Teraz przecież widzę, że górującą w koncercie jego porywów i zamiłowań nutą — jest malarstwo. Pod powłoką płochości i trzpiotostwa krył się ostatecznie rdzeń artyzmu, który widocznie chwilami znikał nawet dla własnego jego wzroku, ale wkrótce napęczniał i rozsadził swą korę.

Szczęśliwy ten, kto uświadomiwszy sobie dosyć późno właściwe swe powołanie, gdy mu już świat narzuci fizyonomię urzędową i zamknie przemocą w jednej z kratek i klatek społecznego podziału pracy, wyrwie się z niej, otrząśnie z wtłoczonej nań skóry i cywilną odwagę w sobie znajdzie do rozpoczęcia nowego zawodu *ab ovo*.

Lepiej rozumieć siebie późno, jak nigdy; kilka lat życia bodajby dyletanckiego, ale w zgodzie z podszeptami tajników swej duszy, lepsze niż całe wieki wegetacyi, opartej na gwałceniu ich...

Dobrześ zrobił, c. k. lejtnancie, salutuję przed tobą z całym szacunkiem i ślę ci serdeczną zachętę!

W ustach fajeczka, oko nie duże, ale wyraziste i śmiało patrzące, twarz muskularna, podbródek mięsisty, gruba szyja, czoło dobrze sklepione — składają się na wyraz swobody, siły młodzieńczej i zdrowia. Szkoda, że fotografie nie mogą... chodzić; przekonalibyście się bowiem, jaką czerstwością tchnie cała postawa i ruchy młodzieńca, którego podobiznę demonstruję w tej chwili.

Skromny, niebogaty, koleżeński jak mało kto, niezależny w sądach jest raczej na wygląd mięszaniną typu studenta i artysty zarazem.

Pamiętam, było to w pełni maja, kiedyśmy się spotkali niespodzianie po długiem niewidzeniu na wsi. Pogoda była jakby zamówiona przez poetów i wszystkich rozgruchanych kochanków; piękny, kunsztowny park zdala od cywilizowanego świata dniem i nocą tak potężnie rozbrzmiewał chórami słowików, że aż niekiedy tęskniło zmęczone ucho za ciszą. Skrzydlaci śpiewacy upodobali sobie to miejsce szczególnie, a przytem owej wiosny namnożyła się ich siła wielka. Byliśmy więc pod wrażeniem najcudniejszego zmartwychpowstania natury, ja, on i towarzysz jego, o którym powiem cokolwiek później, jakkolwiek i teraz z konieczności wciągnę go do gry.

Przyjąłem u nich gościnę i parę dni tam spędzonych zaliczać będę do najprzyjemniejszych, choć wiem z góry, że pan Kocio Kwicki powie, iż mnie ich serdeczność przekupiła. *Soit...* Podziwiałem przyjaźń, która ich łączyła, wbrew stwierdzonemu tyle razy faktowi, że prawdziwie zdolne organizacye trudno się nadają do bliższych stosunków przyjacielskich. Ale jeszcze więcej zachwycała mnie ich żywiołowa i zarazem uświadomiona miłość do natury. Zwłaszcza ten z fajeczką, sam krzepki i świeży dąbczak, żył tylko otoczeniem, zielonowilgotną równiną ogromnych łąk, żółtem kwieciem rowów, grą świateł w maleńkiej rzeczułce. Podpatrywał je subtelnie i rozumnie jak artysta, ale jednocześnie jak dziecko wsi. Snuć się po lasach i polach było jego namiętnością. Dreptaliśmy po człapakach, po porębach i wzgórzach lesistych, a on wciąż obserwował i rozkoszował się.

Najczęściej sam dosiadłszy szkapiny, brał skrzynkę malarską w rzemykach i jechał do boru zdejmować różne fragmenty, potrzebne mu do większego obrazu. Jego zdolność wystarczania sobie imponowała mi po prostu, ba! i jego kolegi, Obadwaj bez żadnego postronnego towarzystwa spędzili calutką zimę na pustkowiu, za całą ludzkość mając sługusa, ekonoma lub... pisarza gminnego.

— A cóż, są tu jakie panie w sąsiedztwie, zapytałem, boć nie mogę wierzyć, ażebyście tak żyli sami jak pustelnicy?

— Eh, panie, jak jest co do malowania, to można się śmiało obejść bez kobiet.

Zrobiłem wielkie oczy, jako wychowany w wielkomiejskiej zasadzie, że „bez kobiet, to człowiek jak bez duszy, roślinność pośród suszy.“

A jednak tak było. Oni umiłowali sztukę i przyrodę wszystkiemi siłami młodzieńczego ducha, Pracownię mieli na miejscu, przerobioną z cieplarni. Pomyślałem sobie: gdyby tak skazać... literata na podobne więzienie w śniegach i błotach, skisł by, zmizerniał, zapełnił całą ziemię płaczem i szlochaniem i skargami. Czy „literatura“ zdołała kogo pochłonąć tak zupełnie, tak niepodzielnie, jak ich pochłonęły pejzaże? Jeden wędrował podczas mrozu do lasu, drugi podczas mrozu siadywał całemi dniami w stajni i malował konie u żłobów stojące, parobka bełkocącego kantyczki na słomie i półświatło zimy, przeciskające się przez drzwi.

Nie chcę być pomówionym o egzaltacye i idealizowanie temperamentów artystycznych, powiem więc, że potrafili też całemi godzinami wystawać nad wodą i łapać na wędki marne płotki i kiełbie, albo sporządzać przynętę dla szczupaków. Wszakże dla mnie i ta prostota stanowi rys charakterystyczny.

Malarz z fajeczką czuły jest na wszelkie powaby natury wiejskiej, czy są one widne w przedmiotach martwych, czy w wegetacyi, czy w samych ludziach. Jeszcze teraz stoi mi żywo w pamięci typ dziewuchy, który mi odmalował, jako osobliwość z prawdziwym talentem nowelistycznym. Umiejętne grupowanie rysów znamiennych, wypływało przecież nie z oczytania, lecz z intuicyjnego daru artysty, który zawsze i wszędzie potrafi charakter i poezyę pochwycić.

Dziewczyna owa, istna Kaśka karpacka co do siły fizycznej, miała obok wielkiej słabości dla płci brzydkiej zdumiewającą wrażliwość i marzycielstwo lunatyczki, i ustrój nerwowy o wiele delikatniejszy, niż zwykłe chłopki.

Kto nie widział tego monachijczyka, jak wałęsał się w długich butach i pomiętym kapelusiku po manowcach! Przekonany jestem, że oddałby wówczas całą akademię za drugi taki obraz natury, na wskroś swojskiej i szczerej. Zdjąć w mgnieniu oka obuwie, zakasać... ineksprymable, zarzucić na plecy którego z nas i tak przenieść przez wodę, niespodziewanie przerzynającą pole — to dla niego fraszka. Powtarzam, że to dąbczak prawdziwy.

Odeprze kto, że takich zdrowych, tryskających życiem, werwą i poezyą młodzieńców znaleźć można sporo. O najzupełniej przyznaję. tylko proszę nie tracić z uwagi, że ten moj bohater ani na moment nie zapomniał o sztuce, i od czasu do czasu umiał zaglądać do swej improwizowanej „atelii“. Praca przed sztalugami i rozrywki pozadomowe lub przechadzki mają u niego wspólne źródło: potrzebę widzenia, odczuwania i odtwarzania. Jest to pejzażysta w każdym calu, z krwi i kości.

A ów drugi, sobowtór tamtego, z ogromnie szerokiem i wypukłem czołem, cóż to za jeden?

Ten wiecznie milczy, z twarzy mu nigdy nie schodzi wyraz komicznej niezdarności i frasunku, a oczy patrzą w taki sposób, jak gdyby siedziały nie w swych dołach, lecz na nosie.

MAJAK.

Trochę prawdy.

FANTAZYA.

Pewnego pięknego poobiedzia na jesień — chociaż nie wiem, czy było rzeczywiście piękne — zasiadłem po skromnym, lecz treściwym obiedzie gospodarskim, by przy kawce i papierosie przewertować dzienniki. Byłem sam, — zawsze sam, lecz nie będę się nad moją samotnością rozczulał. Miło mi było siedzieć wygodnie na sofie, u nóg wyżeł poczciwy, i z całym spokojem zajrzeć w wiry świata, w jego kłótnie, karkołomne kombinacye i konstelacye, aż błogi sen nie spuści mi się na powieki i pozwoli zapomnieć o samotności i o wielkiej polityce świata. Już przejrzałem wszystkie *exposés* dziennikarskie, już zacząłem odczuwać zbliżanie się tej słodkiej zadumy, która półgodzinną poobiednią drzemkę sprowadzała, gdy nagle powieki rozwarły mi się szeroko, a oczy me zatrzymały się na nazwisku, które niedawne przypomniały czasy. Pismo X donosi:

„W skład naszej redakcyi wchodzi od dnia dzisiejszego Pan Konc-Ratyniec“. A! nie ulega wątpliwości — to on być musiał, mój dawny kolega szkół i wszelkich późniejszych nauk. Lat kilkanaście minęło od chwili, gdyśmy się rozstali — ja osiedliłem się w głębi Galicyi — on pozostał w Poznańskiem i także gospodarzył.

Ochota snu zbiegła mi z powiek. Ten mój najmilszy kolega, rzetelny chłop, co się zowie, poszedł między dziennikarzy, pomiędzy tych co opiją się atramentem, a zmięszawszy go z swą żółcią, wylewają potem na papier i ludziom spokojnym nieraz sen odbierają. Od lat kilku mam wstręt do nich. A jednak kiedyś pomiędzy nimi chętnie bywałem, ba, przyjechawszy z Prowincyi do stolicy najlepiej z nimi się zabawisz, bo szelmy niektóre dowcipne, a wiedzą wszystkie w mieście prześpiegi. Zawsze pomiędzy nimi wesoło, gwarno. Ot! na takiej bibie, gdy wino zaszumiało wygłosiłem toaścik, co się zowie, rozczuliłem nim wszystkich. Przychodzi więc jeden z nich do mnie, ściska mię za rękę i prosi gorąco: „Panie dobrodzieju, jeden albo dwa artykuliki w guście tego toaściku dla mojej gazety! nieskończenie będę wdzięcznym“. Patrzę mu w oczy, obwiesiowi, czy szczerze mówi, bo mię coś tchnęło, coś mi w oczach zamigotało, ale mina była dziecka proszącego o łakocie. Daję więc słowo. Napisałem im artykuł: „*Rady dla społeczeństwa*“, — oparłem się na podstawie „*mens sana in corpore sano*“. Być może, iż uwzględniłem zanadto cielesną stronę życia, lecz rzecz sama była powtórzeniem prawie mego toastu, który im się przecież podobał.

Co się dzieje! nadsyłają mi dziennik z mym artykułem, — nagłówek dali mu „*Curiosum*“, a imię i nazwisko wypisali na me życzenie w całości.

Niech wie prowincya jakich mężów chowa!

Co mię tam po tej nędznej bibule, naciągali, nakłuli, nadławili — co słowo przeczytałem, to jęk mi się wydobywał z piersi, jakby mię kto za włosy chwyciwszy, wlókł po podłodze, — co zdanie, to podskakuję w górę, jakby sto szpilek było w mej leżance, co okres, to tchu w piersiach nie staje, jakby mi ktoś gardło sznurował. A opryszki! tak obchodzić się z pracą, która mię tyle zachodu kosztowała!

Uspokoiłem się i w te tropy pędzę do stolicy do redakcyi, która mię tak skrytykowała, i żądam wydania nazwiska mego krytyka. Zasłoniono się tajemnicą redakcyjną, ale zaręczono mi, że artykuł jest nadesłany i zapewniono o osobistej przyjaźni i szacunku.

Jestem przekonany, że to ten sam obwieś, który o artykuł mię prosił, wyszydził mię potem. Gdybym był mógł mu dowieść, a dnia tego, gdzie go był nadybał, to i bez dowodu może byłby się przekonał krytyk, że mój *corpus*

Jednem słówkiem możesz go przekonać, że jest stworzony n. p. do pasania bydła a nie do malowania. Wysłucha, zakłopoce się jeszcze zabawniej i będzie się gryzł wewnętrznie. Tchórz w sztuce, jak mało kto, a przecież ma talent z Bożej łaski i dał tego dowody.

Cezary Jellenta.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Książka St. Koźmiana o 1863 r.

(Ciąg dalszy).

A jednak p. Koźmian jest przekonany, że napisał rzecz źródłową. Dowodem tego są dokumenta, które in extenso w tekscie przytacza. Pod względem literackim ten sposób umieszczania w tekscie całych odezw, cyrkularzy i t. p. nie wytrzymuje krytyki, bo przerywa bez potrzeby tok opowiadania. Gdyby był p. Koźmian pisał już kiedykolwiek przedtem książkę, mającą pretensye do nazwy dzieła historycznego, to zapewne zwróconoby mu już uwagę, iż w toku opowiadania z wszelkich aktów i dokumentów wyciąga się jedynie treść potrzebną do wniosków lub wywodów, a całkowity ich tekst (jeżeli naturalnie posiada jaką wartość) umieszcza się w końcu w dodatkach.

Ale mniejsza o to, przypatrzmy się samym dokumentom. Jeżeli je p. Koźmian w całości wydrukował, to nie znaczy nic innego, jak tylko, że uważał je za nieznane, za potrzebne do wydobycia na światło dzienne. Gdyby wiedział, że są już wydrukowane, byłby się na nie tylko powoływał. Inaczej trudno rzecz tłomaczyć, bo dokumenta te nie mają żadnej jakiejś nadzwyczajnej wartości, bo istnieją setki innych dokumentów, daleko ważniejszych i tyczących się organizacyi i udziału Galicyi w powstaniu, a więc je przedewszystkiem przedrukowaćby należało. Ale historyk cieszy się, jeżeli może dorzucić do skarbnicy dziejów źródła choćby drugorzędne, choćby drobny szczegół objaśniające, ale nieznane. Cieszył się więc p. Koźmian i dziewięć takich dokumentów wydrukował.

Pierwszy z nich to okólnik *Ławy lwowskiej* z 29 listopada 1862 roku. Po co on właściwie wszedł do książki niewiadomo, bo Rzecz p. Koźmiana rozpoczyna się z chwilą wybuchu powstania. Czy okólnik ten był już kiedy wydrukowany, nie wiemy, trudno przecież od nas żądać, abyśmy dla bardzo małej osobistej satysfakcyi czynili kwerendy w całej literaturze powstania styczniowego.

Nie wiemy również, czy są znane dwa pisma Rządu narodowego z 10 i 30 Czerwca 1863, pisane do komitetu krakowskiego i komisarza pełnomocnego na Kraków i Galicyą zachodnią.

Ale następują z kolei:

a) postanowienie komisarza rządowego z dnia 13 lipca — *wydrukowane już* w roku 1890 w III tomie „Wydawnictwa Materyałów“ str. 49;

b) rozporządzenie tegoż komisarza z tejże samej daty — *wydrukowane* w tymże samym tomie „Materyałów“ na str. 47;

c) trzecie rozporządzenie tegoż samego komisarza z tejże samej daty — *wydrukowane* tamże na str. 51.

d) rota przysięgi, — *wydrukowana* tamże na str, 52;

e) cyrkularz komisarza rządowego z dnia 18 lipca — *wydrukowany* tamże na str. 58;

f) relacya w sprawie sporów o regulamin. P. Koźmian, jak już zauważyliśmy, wydrukował z niej tylko ustęp, a resztę, jako niedogodną dla siebie opuścił. Całość *znajduje* się w tomie III „Materyałów“ na str. 62—65.

Otóż z tych dziewięciu dokumentów trzy *może* są nieznane, a sześć ujrzało światło dzienne już przed czterema laty. A więc p. Koźmian drukował je bez żadnej kontroli. A więc nowy dowód, że p. Koźmian nie raczył się zapoznać z literaturą 1863 roku. A więc wreszcie dowód jasny, że nawet nie zajrzał do najpoważniejszego źródła, jakiem jest „Wydawnictwo Materyałów do historyi powstania 1863—1864“, które cały tom trzeci liczący prawie 500 stron zapełniło jedynie dokumentami, tyczącemi się udziału Galicyi w powstaniu styczniowem.

Sam ten tom trzeci (a jest ich dotąd pięć) mieści w sobie 321 dokumentów — cóż za bogate źródło do odtworzenia obrazu współudziału Galicyi. I źródło to najspokojniej z czystem sumieniem omija autor książki, której główną treścią jest udział Galicyi w powstaniu. Zaiste odwaga lekceważenia takiego źródła jest godną najwyższego podziwienia.

Wszystko to wskazuje do jakiego stopnia całkiem nieprzygotowany przystąpił p. Koźmian do napisania pierwszej części swojego dzieła. Widocznie był w tem błogiem przekonaniu, że pole, do którego uprawiania przystąpił, leżało dotychczas całkiem odłogiem. Zdawało mu się, że będzie pierwszym oraczem na niwie, na której już pracowało setki rąk z gorszym lub lepszym rezultatem.

Wziął do ręki „Czas“ z roku 1863, przepisał z niego nieco korespondencyi swojego ojca, sięgnął do własnej zamglonej już pamięci, wydobył ze swego biurka kilka przechowanych z roku 1863 papierów — i wyruszył na zdobycie laurów historyka.

VIII.

Przypuśćmy jednak, że wskutek trzęsienia ziemi lub potopu, giną wszystkie źródła do historyi udziału Galicyi w powstaniu styczniowem i że zostaje jedynie cudem uratowana książka p. Koźmiana. Trudno, musielibyśmy w nią wierzyć jak w ewangelią — ale i wtedy jednak nie moglibyśmy sobie w żaden sposób wyrobić jasnego poglądu na sprawy, które ona porusza. Dowiedzielibyśmy się wprawdzie mylnie, bardzo mylnie o tem, jaka była organizacya w Galicyi zachodniej, ale jakie ona przyniosła rezultaty, czem się pochwalić mogła, co po prostu zrobiła dla powstania, pozostałoby dla nas rzeczą niewiadomą. Ogólnikowe wyrażenia, że zbierała pieniądze, że formowała oddziały, nikogo nie nauczą; każdy się zresztą domyśli, że zadaniem jej nie było zakładanie cukrowni, urządzanie festynów i polowań, stawianie pomników granie w kwindecza, lub praca nad utworzeniem zupełnej kollekcyi pająków krajowych, lecz, że miała starać się o pieniądze, zakupywać broń i formować oddziały. Że komitety wiodły spory z Rządem narodowym o swoją autonomią to rzecz dowodząca jedynie braku zgody, ale nie objaśniająca ich działalności. Czy w komitetach tych zasiadali Baum i Benoc, czy Tarnowski i Gorajski, to rzecz także w gruncie rzeczy dość obojętna. Wszystkie podobne, że tak powiemy „dodatkowe wiadomości“ mogą mieć swoje miejsce, ale przedewszystkiem każdy chciałby się dowiedzieć: co zrobiono i jak zrobiono, jaką rolę odegrała prowincya, czy powstaniu pomogła i czem pomogła?

Brak wszelkiej odpowiedzi na te pytania to znowu wielka wada książki pana Koźmiana. Może być jednak, iż wada ta umyślna, iż pan Koźmian nie chciał poruszać kwestyi bardzo niebezpiecznej dla niego i jego przyjaciół politycznych. Pokazałoby się bowiem jasno, iż ci ludzie „lepsi“, rozumni, ci autonomiści, sprzeczający się o zakres swej władzy, wzięli się nie do swojej rzeczy, nie umieli wypełnić przyjętych własnowolnie obowiązków, więcej pisali, gadali i kłócili się, aniżeli robili.

„Wydawnictwo Materyałów“ (nie same one zresztą) przynosi nam na to niestety aż nadto dowodów. Kto ciekawy, niech do niego zajrzy, a poweźmie bardzo niebudujące wyobrażenie o akcyi pomocniczej Galicyi za czasów istnienia

---

jest „*sanum atque robussum*“. Na szczęście jego ednak znaleść nie mogłem. Z pewnością go ostrzeżono, bo ci dziennikarze, chociaż pomiędzy sobą się kłócą, jak im do skóry zaczniesz się dobierać, zawsze z sobą trzymają. Był to, jedyny mój występ literacki, — o drugi więcej się nie kusiłem, a dziennikarzy omijałem jak ognia.

Więc ów Konc-Ratyniec poszedł między nich, między moich wrogów. — Szkoda! Szkoda! Ważne jednak musiał mieć do tego przyczyny. Zręcznym wprawdzie do pióra był zawsze, lecz nigdy o ile sobie przypominam, nie miał zamiaru iść między dziennikarzy, — ha! widocznie zrobił to z potrzeby.

Szkoda takiego człowieka dla nich, bo oni go tam przetworzą, żółć mu poruszą, wątrobę przewrócą — a to jednak mój szkolny kolega. Trzeba go ratować! Jechać! wszakżeż roboty w polu pokończone, a jeżeli go nie uratuję, to spełnię obowiązek koleżeński. Jechać i basta.

Po całodziennej podróży jestem w mieście, gdzie mój Konc-Ratyniec orze piórkiem papier. Biegnę do niego do redakcyjnego biura. Na razie nie poznajemy się, — a potem z zamachem wpadamy sobie w ramiona. Nie stracił jeszcze tego zamachu przy powitaniu, jeszcze zatem nie całkiem stracony. Wyblakłe twarze kolegów mojego Konca spojrzały na nas ze zdziwieniem. Widziałem jak mię świdrowały oczy reportera „od miejscowych, — z pewnością namyślał się pod którą rubryką mię zamieścił; dyplomata „od polityki“ ze zdumieniem patrzał jak można tak nieostrożnie wyjawiać swoje uczucia, a złośliwy „od krytyki“ pod cienkim wąsikiem wargi wykrzywiał i już na mój koszt, układał domorosły koncept, który przy wieczornem zebraniu puści między swoich.

Wyciągnąłem mego Konca z sobą. Spędziliśmy cały dzień razem, śniadanie, obiad, kawa, poobiednia drzemka. — Konc chrapał wyśmienicie. A wieczorem zamknęliśmy się do osobnego pokoiku i przy kapce starca rozpytałem się o wszystko.

Zdziwiony byłem, Konc nie przeszedł z potrzeby do dziennikarzy, powołano go, a że czuł siłę, iż odpowie zadaniu, więc poszedł. Ilem to ja się nasłuchał od niego o wzniosłem powołaniu i zadaniu naszej prasy, a walk ich dla idei, dla zasad partyi, której duszą i ciałem jest oddany, o opinii publicznej, o krytyce. Widziałem, iż mówił z zapałem. On wierzył w to, co mówił, znać było, iż przejęty jest najpiękniejszemi nadziejami, a przepełniony najszlachetniejszemi zamiarami. Na to wszystko odrzekłem mu, iż obawiam się, by te wszystkie jego piękne poglądy nie wzięły wkrótce w łeb, by się nie zmienił, by nie przejął się zasadami tych obwiesiów a na dowód jakiego to gatunku ludzie, opowiedziałem mu krzywdę przez dziennikarzy mi wyrządzoną.

Wino było ciężkie, kolacya suta, a najgorsze to, iż mówiliśmy o rzeczach bardzo niestrawnych, o krytyce, prasie, opinii; słuszne więc były me obawy, iż sny męczące trapić mię będą.

Aby więc krew rozrzedzić odprowadziłem Konca do domu — a na resztę mej wyprawy zapuszczam zasłonę nocną.

Niestety mimo przechadzki sny męczące mię trapiły. Straszne sny. Poczekam z opowieścią aż Konc przyjdzie.

Przyszedł! Z góry mu więc zapowiadam, że nadal żadnych rozmów niestrawnych nie prowadzę, że jestem tak nerwowy, że każda drażniąca rozmowa we śnie mi się odbija w dziwacznej formie i że takie właśnie sny nawiedziły mię tej nocy.

Władysław uśmiechnął się, przypomniał mi się uśmiech owego krytyka z redakcyi i pomyślałem w duchu, że już zaczyna wchodzić na ich tory.

— Sny? wiesz! to rzecz arcyciekawa, opowiedz mi twoje sny.

— Opowiem, muszę ci opowiedzieć. Włosy na głowie ci dębem staną. Wystaw sobie, śni mi się, iż unoszą mię jakieś duchy i stawiają w dużej oświetlonej sali. Na wyniosłym tronie

i działalności autonomicznych komitetów i Rad prowincyonalnych.

Każda prawie z zamieszczonych w niem relacyi, składanych rządowi narodowemu pełna jest skarg na brak energii, na odgrywanie przez komitety roli państwa przyjaznego, na opieszałość w formowaniu oddziałów, na odsuwanie ludzi znanych z patryotyzmu „na korzyść paniczów i fanfaronów“, na największy nieporządek w wyznaczaniu etapów, w przesyłaniu broni, amunicyi i rekwizytów wojennych, na niepotrzebne trwonienie pieniędzy, na opieszałość w obmyślaniu pomocy lekarskiej dla rannych, na nieumiejętność wyzyskania ofiarności, na złą egzekucyą podatków. Dyrektor wydziału efektów, składając komisarzowi pełnomocnemu krótki rys czynności tych władz, pisze, iż komitet część wojskową załatwił bez żadnej znajomości rzeczy: ładunki nie pasowały do broni, broń źle była przechowywaną, a nawet niewyczyszczoną, — „chaos panował we wszystkich czynnościach“. Kiedy komitet przemienił się w *Radę prowincyonalną* (cytujemy wciąż relacyą dyrektora efektów) nastąpiła chwila wypoczynku. „Przyobiecane miliony“ za koncesye poczynione Radzie nie wpłynęły do kasy. „Dyrektorzy pięciu wydziałów nie mieli żadnego poglądu na tok sprawy“. To też załatwiono wszystko prawie bez ich wiedzy, a „czynnością ich najwyższą było wydzielanie pieniędzy na amunicyą i efekta, *jeżeli je komisarz rządowy dyrektorom wynalazł i doręczył*“.

Czytamy również ciągłe narzekania na liczne wstrętne objawy. Nietylko, że wałęsali się ciągle ucikinierzy, którzy wszedłszy w granice Królestwa po paru dniach wracali, ale odbywały się nieustanne burdy, gry i pijatyki. Żołnierze i oficerowie, wojujący po knajpach odbierali żołdy i szerzyli demoralizacyą. Dochodziło do tego, że sprzedawano efekta wojskowe. Wszystkiemu temu winien był brak dobrze urządzonej policyi. Kraków pod tym względem odgrywał najsmutniejszą rolę; w nim demoralizacya dochodziła do szczytu. Tu, jak się wyraża jeden z raportów mieli główną siedzibę „infamii uciekającej z boju, a klubującej i szynkującej w mieście*).

Składki w Galicyi na cele powstania, w formie czy to podatków, czy dobrowolnych ofiar wpływały tak skąpo, że gdyby nie jednozgodność licznych źródeł, sądzić by można, że mamy do czynienia z mistyfikacyą. Obwód przemyski od 1 lipca do 1 października 1863 roku złożył na cele powstania *1100 złotych polskich* t. j. mniej niż po 100 złr. na miesiąc. Największą ofiarę przez te trzy miesiące złożył obwód złoczewski w kwocie 3500 złr., z którego to powodu Kazimierz Wodzicki nazwał ten obwód „opromienionym zasługą rzeczywistą“ (Materyały III 156). Jak składki płynęły z zachodniej Galicyi dokładnie tego nie wiemy, ale zapewne nie obficiej niż we Wschodniej. Po ogłoszeniu pożyczki narodowej i rozwiązaniu Rady prowincyonalnej Galicyi zachodniej spotykamy w „Materyałach“ jedyny tylko dokument, świadczący o większej stosunkowo ofiarności. Ztąd też nietylko Galicya nie dostarczała pieniędzy Królestwu, choć nie ponosiła setnej części jego ciężarów, ale nie była sama w stanie pokryć swoich wydatków, Co krok więc natrafiamy na ślady, że z Królestwa od Rządu Narodowego, od naczelników województw, od dowódzców oddziałów posyłano do Galicyi pieniądze. Tak n. p. w czerwcu 1863 przysłał Rząd Narodowy 150,000 złp. na potrzeby administracyi w Krakowie, 333,332 złp. 10 grz. na potrzeby administracyi we Lwowie i 500,000 złp. na zakupno broni dla oddziałów. Województwo lubelskie przysłało do Rzeszowa 100,000 złp. dla oddziału Waligórskiego. Edmundowi Różyckiemu na uformowanie jego oddziału przysłano z Krakowa 200,000 złp. nadesłanych przez Rząd Narodowy. We wrześniu zarząd Podola wyasygnował 500,000 rubli galicyjskiemu naczelnemu wodzowi ziem ruskich (temu samemu Różyckiemu. Poprzestajemy na tych cyfrach, dowodzących jasno jaki rezultat był akcyi komitetów. Te też nie dziwmy się, że Szujski w 14 numerze pisma „Naprzód“ ostro występował przeciw małej ofiarności arystokracyi i osób majętnych, a w numerze 10 gromił obojętność galicyjską. Nie dziwmy się, iż Stanisław Jarmund nazywa Galicyą „dziurawym workiem, do którego wrzucano wszystkie materyalne zasoby, jakie wydobyć się dały czy to w samej Galicyi, czy na Wołyniu, Podolu lub Ukrainie, czy wreszcie w Królestwie wycięczonem walką. A wszystko, co ten worek pochłonął, przepadało bez żadnej prawie korzyści**).

Wobec tego stanu rzeczy trudno się dziwić rezultatom. Oprócz wyprawy Kurowskiego pod Miechów od marca aż do września z różnych obwodów zachodniej Galicyi wyszły następujące oddziały: Grekowicza w sile 600 ludzi, Wierzbickiego i Mosakowskiego (300 ludzi), Miniewskiego ilość ludzi niewiadoma), Rumowskiego i Denisowicza (300 ludzi), Rogalińskiego 60 koni, Mycielskiego (liczba niepodana), Popiela 100 koni), Krukowieckiego 500 ludzi, Taniewskiego 400 ludzi i Jordana. Wszystkie te oddziały razem wziąwszy nie wynosiły więcej jak 3000 do 3200 ludzi i wszystkie, z wyjątkiem oddziału Krukowieckiego, który uratował honor żołnierza polskiego, zostały natychmiast po przejściu rozbite i powróciły do Galicyi najczęściej bez broni.***)

Czy można z tego stawiać zarzut braku dobrej woli komitetom? Nie! — o złą wolą ich podejrzywać nie wolno. Zapewne, że pragnęłyby, ażeby był większy ład, większy porządek, zapewne, że chciałyby więcej zebrać pieniędzy, zapewne, że chciałyby dobrze formować oddziały i nie narażać ich na rozbicie. Chciały, ale nie umiały, wzięły się nie do swojej rzeczy, nie posiadały energii, traciły czas na kłótnie w obronie swych przywilejów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

K. Bartoszewicz.

*) Z ust osób pamiętających Kraków za czasów powstania słyszeliśmy wstręt budzące szczegóły. Trudno doprawdy uwierzyć jak wielką była demoralizacya.

** Stanisław Jarmund. Wspomnienie z pobytu w Galicyi w r. 1863- Lwów 1893, str. 9.

*** Szczegóły, tyczące się niektórych z tych wypraw, opowiadane nam przez naocznych świadków, są zbyt wstrętne, aby je przytaczać. Dość powiedzieć, że byli w nich tacy, co nawet granicy Królestwa nie widzieli, były całe oddziały, wracające po 24 godzinach.

BADANIA NAUKOWE.

Stany hypnotyzmu.

(Ciąg dalszy.)

Znanem jest oddawna zjawisko znieczulania miejscowego przez poddawanie paraliżu czucia, z którego nieraz korzystali lekarze przy wykonywaniu niektórych operacyi chirurgicznych. Znieczulenie takie przeprowadzić można magnesem do odpowiedniego członka drugiej połowy ciała.*) Tak samo znieczulać można zmysły.

* Zjawisko przeprowadzania pewnych stanów nerwowych z jednej połowy ciała do drugiej za pomocą magnesu znanem jest od 1884 r.; spostrzegano je odtąd wielokrotnie u osób histerycznych hypnotyzowanych. Karol Féré i Alfred Binet podają następujące ciekawe spostrzeżenie: Zahypnotyzowanej histeryczce kazano pisać cyfry prawą ręką aż do 12; następnie po pewnem wahaniu zaczęła pisać lewą ręką pod wpływem ukrytego w pobliżu tejże ręki magnesu. Znaki pisane lewą

---

siedzi kobieta poważna. Głosem suchym mówi do mnie: „Radą jestem“.

Kłaniam się uprzejmie i dodaję, że zaszczytnie mi poznać jejmość, lecz dalibóg nie wiem, od czego pani „Rada“ była Radą.

— Może przyśniła ci się „rada nadzorcza“, którego z naszych dzienników, — przerywa mi Władysław.

— Czyż one takie straszne, że aż we snach ludzi trapią?

— O nie! — tylko, że wspomniałem o nich wczoraj wieczorem, więc Tobie się przyśniło.

— A być może, — lecz słuchaj, co owa „Rada“ robi zemną: Wskazuje na mnie palcem rozkazująco i woła: — Zedrzeć mu skórę i przyoblec go w skórę dziennikarską, umysł uczynić giętkim, język ostrym, w rękę wcisnąć mu pióro jędrne, krótkie, cięte!

Wyskakują z pod tronu małe poczwarki i zabierają się do mnie. Potnieję, rzucam się, bronię rozpaczliwie. Skórę moją poczciwą, skórę chcecie ze mnie zedrzeć! Gwałtu! chcę krzyczeć nie mogę! wiję się w boleściach, czuję jak zdzierają mi moją skórę, mdleję, lecę w otchłań, i naraz budzę się na krześle redaktorskiem i oglądam moją skórę. Dziwna rzecz za moją zdrową, czystą skórę, dano mi skórę obrzuconą błotem i śliną ludzką, obryzganą atramentem i ezernidłem drukarskiem, czuję też, iż znacznie grubsza od mojej. Ha! widocznie to już taki mundur redaktorów. O przezorności pełna Rado! Ledwom zasiadł na krześle, a tu zewsząd z powietrza lecą na mnie strzały. Ubito by mię, naszpilkowano strzałami jak zająca słoniną, gdyby nie moja redaktorska gróba skóra! Strzały odbijają się o nią i padają u mych stóp. Na każdej z nich trzy krzyże, aptekarski znak, że zatrute, i godło pisma. Pod gradem strzał i pocisków piszę artykuły, pióro mi świszcze po papierze, umysł giętki jak wosk przyjmuje wrażenie, nagina się jak chcę - duchy mi nieznane rozrzucają artykuły po świecie — wtem wpada na mnie dama zakwefiona, woal zrzuca, odkrywa mi lica piękne, lecz ubielone, a zmieniające się w wyrazie jak kameleon w barwach.

— Z kim mam zaszczyt? pytam.

— Opinią publiczną jestem.

— Co? jesteś publiczną? zapytuję. — Wygląd masz po temu?

— Publiczną opinią jestem, mówi dama. Wymierzyłeś mi policzek.

— Przepraszam, wołam, to omyłka! Nigdy dam nie biję, przenigdy.

Piękność niezważa na mój protest i ciężki mi pali policzek, aż zachwiałem się na mem krześle: „Policzek za policzek!“ piętnuję cię! woła i ginie.

O Boże! jęczę, — zaledwom piórem ruszył — a już mię piętnują.

Do pracy! — jakiś nadziemski głos woła. Piszę aż pióro świszcze. Znowu rozrzucaja duchy usłużne artykuły moje po świecie.

Staje nagle przedemną, jak z ziemi wyrosła postać maleńkiej damulki przygarbionej, z złośliwym uśmiechem waszego krytyka na ustach, żółta od żółci i wątroby. Syczącym głosem woła na mnie: Jestem krytyką, musisz mię słuchać. Sypie mi komplementa, co jeden to lepszy, mówi o tem, co piszę, wyciąga wszystkie me wady i błędy osobiste na jaw, szarpie mię, gryzie, bryzga mi w twarz żółtawą od żółci pianą gniewu.

Trochę się wiję i kręcę, wreszcie przypominam sobie, iż mam język kończasty jak szydło, a wyostrzony jak obosieczny miecz. Pokazuję go mojej krytyce i wywijam nim młyńca, tak, iż moja pani Krytyka wściekła z gniewu ucieka, pokazując mi ohydnie cienkie łydki.

Jakiś zmęczony się czuję! Lecz głos nadziemski woła na mnie: Pracuj! Znowu więc piszę i piszę i prace moje duchy usłużne roznoszą.

Dość tego! wrzaśnie mi nad uchem baba, przypominająca figurę poznańskiej przekupki. — Jam jest „Prasa rewolwerowa“.

Zamierzałem się jej przedstawić grzecznie jak zawsze dla dam, chociażby mi nawet rewolwerem groziły, — lecz owa baba rzuca się na mnie całym ogromem swego cielska, dusi mię, przykłada rewolwer do skroni i woła w ucho: Odwołaj wszystko, bo uduszę, gdyby kula mego rewolweru odbić się miała od twej grubej skóry.

Gdy pokażemy hypnotykowi sześć pochewek od termometrów, z których jedna wyróżnia się z pośród innych górną swą częścią i część tę uczynimy drogą poddawania dla niego niewidzialną, zliczy on wtedy pięć tylko pochewek. Lecz gdy mu pokażemy dolne części pochewek, wtedy zliczy wszystkie sześć.

Drogą poddawania można uczynić również tę lub ową osobę niewidzialną dla hypnotyka zbudzonego, gdy głos i dotknięcie jej mogą być przezeń odczuwane. Jedna z chorych w Salpêtrière posiada z każdej strony okolic sutkowych miejsce historogeniczne, naciśnięcie którego wywołuje natychmiast atak histeryczny. Jeżeli znieczulim wzrok i dotykanie chorej dla percepcyi pewnej osoby, wtedy silne nawet naciskanie miejsc histerogenicznych, wykonywane przez ową osobę, pozostaje nieodczuwanem i nie wywołuje ataku. Zbliżenie się zaś innej osoby ku niej przejmuje ją strachem.

Niektóre osoby histeryczne pod wpływem hałasu instrumentu chińskiego zwanego *tam-tam* wpadają w katalepsyą. Jednej z takich histeryczek w Salpêtrierè poddano w hypnotyzmie, iż po przebudzeniu nie zobaczy owego instrumentu i nie usłyszy hałaśliwego jego dźwięku. I rzeczywiście dźwięk *tam-tam* nie istniał dla niej wcale w ciągu dni jedenastu i nie wywoływał w niej przez cały ten czas katalepsyi.

Przedmiot, uczyniony przez suggestyą nieodczuwalnym dla hypnotyka, nie przestaje jednak działać w właściwy mu sposób na odpowiednie zmysły. Zrenica osoby, której poddano, iż nie widzi światła dziennego, nie przestaje być wraźliwą na działanie tegoż światła. Tak samo magnes, uczyniony niewidzialnym przez poddawanie, wywołać może u niektórych osób przenoszenie się pewnych zjawisk jednostronnych i zawieszenie lub zniesienie zjawisk obustronnych. Jeżeli znieczulimy wzrok hypnotyka na kolor czerwony i pokażemy mu kwadratowy kawałek papieru czerwonego z czarnym punktem we środku, to wyda mu się, iż punkt ten na białym znajduje się papierze. Gdy jednak pokażemy mu zaraz potem punkt czarny na białym arkuszu, wtedy punkt ów ukaże mu się otoczony kwadratem zielonym, Barwa czerwona pozostawiła zatem wrażenie na siatkówce oka, brakło tylko świadomości tej barwy w mózgu. Świadczy to wyraźnie, iż halucynacya negatywna tak samo jak i halucynacynacya pozytywna jest zjawiskiem czysto umysłowem. Jeżeli soczewka powiększa i przybliża, lustro zaś odbija halucynacye pozytywne, to pochodzi to ztąd, że obraz halucynacyjny, jak to zaznaczyliśmy wyżej, wiąże się z pewnem jakiemś podścieliskiem przedmiotowem, z pewnym znakiem zewnętrznym zależnym od praw optyki.

---

ręką zupełnie były symetryczne do pisanych ręką prawą t. j. były pisane odwrotnie, w lustrze dopiero można było spostrzedz podobieństwo ich do cyfr pisanych prawą ręką. (Comptes-Rendus de la societé de Biologie. 1884. N. 28. p. 445).

Halucynacye wszystkich zmysłów przeprowadzane być mogą również z jednej połowy ciała do drugiej za pomocą magnesu. Stosuje się to także do paraliżów ruchu, półkatalepsyi i półletargu. — Wprawdzie czynione niedawno przez Petersona, szefa kliniki chorób nerwowych w New. Jorku i Kennelly'ego, szefa laboratoryum Edisona doświadczenia nad wpływem magnesu na organizmy zwierzęce ujemne wydały rezultaty. Elektromagnes wagi 5,000, o sile 5,000 centimetrów-gramów-sekund, a więc 27,778 razy silniejszy od magnetyzmu ziemi, żadnego nie wywierał wpływu ani na mózg ludzki, ani na nerwy, (badano pięć osób! nie skonstatowano żadnych zmian w oddychaniu, w krążeniu krwi, w odruchach podkolanowych, ani w ogólnej czuciowości organizmu. Magnes wobec tego wywierałby na hypnotyków wpływ wyłącznie suggestyjny. (Central-Zeitung für Optik und Mechanik. 1893. S. 203.)

III.

Znanym jest wpływ wyobrażeń na przebieg funkcyi życiowych. W hypnotyźmie wpływ ten jest bardzo znaczny. W stanie tym wywoływać można drogą poddawania pewne zmiany funkcyonalne w organiźmie hypnotyka oraz zwiększać jego odporność przeciw wpływom rozmaitych substancyi, jak: alkohol, morfina, opium i t. d. Papier działać może jak wizykatorya pod wpływem suggestyi i odwrotnie, wizykatorya może nie działać, gdy wmówimy w pacyenta, że to nie wizykatorya lecz papier. Stosuje się to do wielu substancyi lekarskich.

Wiara jednak bywa środkiem leczniczym w tych tylko wypadkach, w których interwencya wpływów psychicznych jedynie może coś zdziałać. Ażeby więc wiara mogła leczyć potrzeba do tego specyalnych chorych. Histerycy przedstawiają grunt nerwowy nadzwyczaj przyjazny dla wpływów wiary, łatwo bowiem ulegają poddawaniu. Wpływ ducha na ciało dość bywa skuteczny u takich osób, ażeby doprowadzić do częściowego uzdrowienia ich, do usunięcia pewnych dolegliwości, nie dających się w inny sposób usunąć, Do takich dolegliwości należą: zaburzenia troficzne pochodzenia histerycznego, zaburzenia w krwioobiegu, pewne atrofie mięśniowe, narośle i owrzodzenie z zaburzeń w cyrkulacyi wynikające, oraz wszelkie skurcze, konwulsye, paraliże i nerwobóle natury histerycznej.

Hypnotyzując człowieka zdrowego. wprowadzamy go w stan nienormalny, wywołajemy w nim zaburzenia systemu nerwowego i czynności jego umysłowych, znosimy normalną jego osobowość, paraliżujemy wolę i czynimy go skłonnym do halucynacyi, do skórczów mięśniowych, a nawet do obłąkania. Hypnotyzm podnosi wrażliwość odruchową ośrodków nerwowych, dając zaś przewagę zjawiskom konwulsyjnym doprowadzić może do histeryi lub histero-epilepsyi. Wypadki histeryi ujawniają się często pod wpływem hypnotyzmu. Ażeby doznać wpływów suggestyi, potrzeba zatem przejść przez stan rozstroju umysłowego, przez stan chwilowego obłąkania. Wpływy przytem suggestyi bywają tak nietrwałe, że ażeby je utrzymać, potrzeba znowu hypnotyzować, a zatem znowu wprowadzać chorego w stan zaburzenia umysłowego.

Dr. Antoni Złotnicki.

(*Dokończenie nastąpi.*)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA KRAKOWSKA.

11 stycznia.

(Imatrykulacya. — Zapis Predrzymirskiej. — Epilog nieporządków. — Patryotyzm młodzieży.

W piątek (7go grudnia) odbył się akt imatrykulacyi uczniów uniwersytetu Jagiellońskiego. Aula *Collegium Novum* zapełnili rektor, dziekani i młodzież, która świeżo rozpoczęła studya uniwersyteckie. Rektor dr. Browicz w krótkich słowach zwrócił uwagę młodzieży na jej obowiązki jako obywateli uniwersyteckich, oraz na różnicę między nauką gimnazyalną, a studyami uniwersyteckiemi. Oprócz nauki, która jest głównem zadaniem młodzieży, powinna ona nie zapominać o życiu koleżeńskiem, o zadzierżgnięciu węzłów przyjaźni, o wzajemnem dopomaganiu sobie. Do tego najlepiej służą stowarzyszenia akademickie, mające na celu jużto pomoc materyalną biedniejszym, jużto pomoc naukową, a wreszcie łączenie młodzieży w koło towarzyskie dla wymiany myśli i pożytecznej zabawy.

Po przemówieniu rektora zebrana młodzież przez podanie ręki właściwym dziekanom złożyła przyrzeczenie zachowania ustaw uniwersyteckich i dopełnienia obowiązków, jakie na nią wkłada godność obywateli uniwersyteckich. Liczba nowo wstępujących i w ogóle uczniów uniwersytetu jest nieco mniejszą, aniżeli w roku ubie-

---

Próbuję się szamotać, w śmiertelnych leżę potach, mdleję, lecę w otchłań, budzę się! Znajduję się w łóżku mem. Mimowoli oglądam, czy mam moją przyrodzoną poczciwą skórę jeszcze na sobie.

— Ha! ha! zaśmiał się Władysław. Sen przykry w istocie!

— Oby dla Ciebie nie stał się rzeczywistością! odrzekłem mu.

Człowiek był stracony, gdy nawet sen, który najwidoczniej był mi na jego przestrogę zesłany, nie zdołał go odwrócić z drogi. Pożegnałem się z nim, prosząc, aby nikomu nie wspominał o naszej rozmowie.

P. S. Ładnie dotrzymał przyrzeczenia. Widzę, że Konc-Ratyniec ukrywa się pod pseudonimem Majaka i tak napisał moją rozmowę jakbym ja to był pisał. Pięknie mi się wywdzięczył. Zwyczajnie dziennikarz!

ZAKOCHANA.

Helenie Zimajer ofiaruje
Autor.

II.

RYWALE.

(Monolog).

Pewien pan Karol... hm...
geniusz wszechstronny,
(Jak mu się zdaje) Znawca wszystkich
osób
Nasz ród niewieści, biedny i bezbronny,
Kreśli w ten sposób:

„W piętnastej wiośnie, jak istne
poczwarki,
„Idąc przy boku ukochanej matki,
„Za całe szczęście mają tylko kwiatki
„Albo kanarki".

„Gdy w latach wzrosną te dziewczęta małe
„A towarzysza nie znajdą za młodu,
„To szczęście swoje poświęcają całe
„Dla psiego rodu!" —

Że to jest kłamstwo zaraz wam dowiodę,
Zresztą na świecie bywają wypadki,
Lecz moje serce kocha chociaż młode
I psy i kwiatki.

Mopsika mego przez cały dzień pieszczę.
Niewiem skąd pan ten swe zasady czerpie,
Lecz jak dziś przyjdzie, zaraz mu obwieszczę,
Że go nie cierpię.

Wy, coście życie zatruli niejednej,
Wszystko wam szkodzi, bez serca tyrany!
Nawet on... taki potulny i biedny,
Mopsik kochany.

Już więc i na to sarkacie szakale
I każdy niecnem oburzeniem miota,
Że się znalazła na świecie istota,
Co wierna stale....
(po chwili)
Wczoraj naprzykład, gdyśmy sami byli,
Krzyknął: „Psa pieścić nikt przecież
nie wzbrania,
„Lecz ja lub Mopsik!"... i wybiegł w tej
chwili
Bez pożegnania.

Czy on, czy Mopsik? także mi osoba!
I jak się państwu to wszystko podoba?

głym, a to z powodu otwarcia wydziału lekarskiego na uniwersytecie lwowskim. Wiele mówiący jest znaczny przyrost uczniów na wydziale prawniczym, uczęszcza bowiem na niego prawie połowa uczniów uniwersytetu. Razem z nadzwyczajnymi słuchaczami, których jest zaledwie 13, liczy ten wydział 611 uczniów. Na wydział lekarski uczęszcza 432, na filozoficzny 131, na teologiczny 69, na studyum rolnicze 45, na wykłady farmaceutyczne 12. Razem liczy uniwersytet w obecnem półroczu 1300 słuchaczy, t. j. o 63 mniej niż w roku zeszłym.

Akademia umiejętności może się stać znowu właścicielką ładnego kapitału, choć słaba ku temu nadzieja. Zmarła w przemyskiem Stefania Przedrzymirska, zapisała swe dobra, podobno 400,000 złr. wartości mające, na utworzenie w mieście Przemyślu „Liceum żeńskiego imienia Tadeusza i Stefanji Przedrzymirskich“. Te wyższe kursa naukowe przeznaczone być mają wyłącznie dla sierot. Gdyby Rada powiatowa przemyska zapisu tego nie przyjęła, ma go objąć gmina miasta, a gdyby i ta zrzekła się sukcesyi, wówczas ogólną spadkobierczynią ma zostać Akademia umiejętności. Wyciąg z testamentu jednak, jaki się ukazał w dziennikach, nie powiada czy Akademia musiałaby przyjąć obowiązek utrzymywania kursów dla kobiet, co jednak zdaje się wypływać z dalszego ustępu, a mianowicie, iż gdyby Akademia zapis odrzuciła, wówczas ma Zgromadzenie SS. Nazaretanek przyjąć kapitał i według swojej myśli, gdzie chce, zakład naukowy w Galicyi urządzić.

Przed zwykłym trybunałem toczyła się przez 3 dni sprawa wynikła z nieporządków, jakie się działy przed dwoma miesiącami na rynku krakowskim po zgromadzeniu robotników. Rozprawa była dość ciekawa, bo przebieg jej uzasadnił ogólne przekonanie, iż nieporządki wyniknęły przeważnie z nietaktu organów policyjnych. Pomiędzy aresztowanymi, uwięzionymi i oskarżonymi było kilku przywódców socyalistycznych, których zbrodnia na tem polegała, że wsiadłszy do dorożki przejechali naokoło rynku i mieli wymachiwać rękami. Byli także tacy oskarżeni, którzy nic nigdy wspólnego ze socyalizmem nie mieli, a tylko odburknęli się, kiedy ich policya popychała, lub też przeprowadzili z nią utarczkę słowną w wyrazach, nie grzeszących wcale zbyt wielką niedelikatnością. Wogóle ze wszystkich obwinionych jeden tylko bronił się czynnie i uznał za stosowne ugryźć w palec żołnierza, czy kaprala policyjnego. Jeden znowu, jako za przyczynę swej słownej sprzeczki podawał, iż nie znał ajenta policyjnego, ubranego w suknie cywilne, i zdziwił się skąd jakiś pan może mu dawać rozkaz, aby nie stał na rynku. Ze zdziwieniem przyjęto wynik rozprawy i okoliczności towarzyszące jej przebiegowi. Świadkami byli prawie sami ajenci i żołnierze policyjni, a zatem strona oskarżająca; kiedy obrońcy zażądali świadków bezstronnych, przyglądających się zajściom i aresztowaniom, i to ludzi przeważnie inteligentnych, sąd odrzucił ich żądanie, a prokurator dodał, że musiałby naprzód wyrobić sobie zdanie o wartości moralnej proponowanych świadków. Wszyscy oskarżeni zostali zasądzeni od 10 dni aresztu do 6 miesięcy więzienia. Jeżeli sobie przypomnimy, iż ogół inteligentny przypisywał winę organom policyi, że Rada miejska na zwołanem *ad hoc* posiedzeniu wyraziła swoje ubolewanie z powodu zajść przez te organy spowodowanych, że nawet Koło polskie w Wiedniu wysłało deputacyą w tej sprawie do ministra, to wynik sądu znajdzie właściwe oświetlenie.

Donosiłem w zeszłej korespondencyi, że na pierwszem przedstawieniu „Kilińskiego“ teatr nie był u nas zapełniony i czyniłem z tego powodu pewne nie bardzo zaszczytne uwagi, tyczące się krakowskiego patryotyzmu. Nie wiedziałem wszakże o jednym fakcie wysoce charakterystycznym. Oto dnia 29 listopada, w rocznicę wybuchu powstania styczniowego, kiedy dla uczczenia tej rocznicy „Kiliński“ po raz pierwszy pojawił się na scenie, młodzież akademicka zapełniła cyrk, którego właściciel przeznaczył dochód z tego dnia na budowę „Domu akademickiego“. Jestto uoś tak monstrualnego, że zbytecznem byłoby dawać właściwy wyraz postępowaniu młodzieży, tej „nadzieji narodu“. I są jeszcze ludzie o tak tępych mózgownicach (grzeczniej wyrazić się nie mogę), którzy podejrzywają tę młodzież o żar patryotyzmu i chcą lać wodę na wygasłe ognisko. Nie wiadomo zresztą co więcej potępiać i czemu więcej się dziwić: czy postępowaniu młodzieży, czy też postępowaniu prezesa komitetu „Domu akademickiego“, bez którego wiedzy nie mogło się odbyć przedstawienie cyrkowe. A jest nim profesor Edward Korczyński, który chętnie się zawsze popisuje frazesami patryotycznemi.

K. Bartoszewicz.

KRONIKA WIEDENSKA

Wiedeń, 6 grudnia.

(Reforma wyborcza. — Sytuacya parlamentarna. — Ustawa o przynależności. — Spoczynek niedzielny. — Procedura cywilna i kodeks karny. — Dwa ciekawe wyroki).

„Brzemienna gromem chmura“, którą na prawo i lewo wygrażali się posłowie lewicy i prawicy parlamentarnej, nadciągnęła nareszcie i zasnuła austryacki horyzont polityczny, a niedaleka przyszłość pokaże, jakie spustoszenia sprawi pobliska burza. Rząd nie tai się wcale ze swoją niepewnością jutra, a wybitne organy koalicyjne jawnie rozpoczynają walkę przeciwko sojusznikom swoim. Ową chmurą — reforma ordynacyi wyborczej. Postulat powszechnego głosowania znalazł w „zasadzie“ uznanie wszystkich stronnictw parlamentarnych; jedynie w sposobie urzeczywistnienia go istnieją pewne różnice. Różnice to dość znaczne, a ciekawą illustracyą naszych stosunków jest fakt, że obecnie te właśnie organa, którym projekt wyborczy Taafego i Steinbacha wydał się radykalnie przewrotowym i które właściwie spowodowały upadek poprzedniego gabinetu, teraz w niebogłosy protestują przeciw wszelkim półśrodkom i domagają się zaprowadzenia powszechnego, tajnego i bezpośredniego głosowania. W pierwszym rzędzie walczy o nie obecnie organ lewicy niemieckiej, podczas gdy klub Hohenwarta żąda zaprowadzenia izb robotniczych lub w ostatecznym razie połączenia reprezentacyi robotniczej z handlową t. j. powiększenia liczby posłów z izb handlowych, które mają się przekształcić w t. zw. izby handlowo-robotnicze. Trzecie stronnictwo koalicyjne t. j. Koło polskie odgrywa zgodnie z tradycyą rolę języczka u wagi, dotąd atoli nie przeważyło jeszcze żadnej szali, a co ważniejsze kryje się przed ogółem z swymi planami i — obradami. O ile można zaufać doniesieniom „lepiej poinformowanych“ przedstawiono w Kole cały szereg wniosków w sprawie reformy wyborczej — najmniejsze szanse posiada wniosek zaprowadzenia powszechnego i bezpośredniego głosowania, popierany zaledwie przez dwóch posłów Hofmokla i Lewakowskiego. Reszta, z wyjątkiem posla Potoczka, protestującego jako reprezentant chłopskiej burżuazyi, przeciwko nadawaniu prawa wyborczego... parobkom i pastuchom, zdaje się godzić na projekt przedstawiony przez posła Rutowskiego, będący li tylko słabą przeróbką projektu rządowego z ery Taafe-Steinbacha.

Tak więc sytuacya staje się trudniejszą z dniem każdym i trójprzymierze parlamentarne zaczyna się powoli chwiać w swych podstawach. Nie ulega bowiem kwestyi, że od wyniku podniesionej obecnie kwestyi reformy wyborczej zależą nietylko dalsze rządy gabinetu Windischgraetza, lecz także trwanie koalicyi. Wobec niezdecydowanej postawy większości parlamentarnej rząd widział się zmuszonym rozpocząć akcyę na własną rękę i ułożyć własny projekt reformy, który niebawem przedłoży jednej Izbie. Projekt rządowy opiera się na zasadzie rozszerzenia praw wyborczych na masy robotników przemysłowych i rękodzielniczych. Od okoliczności, czy projekt ten zadowolni wszystkie stronnictwa, wchodzące w skład koalicyi — zależeć będzie jego powodzenie i rządy obecnego ministeryum. Bądź co bądź niepodobna już obecnie przypuszczać, aby bieżąca sesya parlamentarna mogła nad poruszoną kwestyą reformy przejść do porządku dziennego. Najbliższa przyszłość może sprowadzić nowe doniosłe dla Austryi przewroty polityczne; z tym faktem nie przestaje się liczyć rząd, ani parlament, ani lud robotniczy, oczekujący z zaciekawieniem końca zawikłań parlamentarnych.

W zamięszaniu, wywołanem projektem reformy wyborczej — uchodzą uwadze ogółu czynności prawodawcze parlamentu, których doniosłość dla życia praktycznego zaprzeczyć się nie da. Wniesiona w izbie posłów ustawa „o prawie przynależności“ ma na celu usunięcie jednego ze starych a dotkliwych błędów w organizacyi ustawodawczej państwa. Dotychczasowe przepisy o przynależności przypominały ograniczenia wydane przez Aleksandra II przeciw żydom w Rosyi; oddawały bowiem swobodę indywidualną obywateli państwa na pastwę samowoli władzy administracyjnej, która — zwłaszcza w Galicyi — zdobyła sobie górujące nad innemi władzami stanowisko. W mocy wszechwładnej policyi było zawsze i wszędzie jednostki „podejrzane politycznie“, które miały nieszczęście urodzić się w jakimś zapadłym zakątku gór-

---

No! naturalnie, że Mopsik zwycięży
Tych chytrych węży.
Dziś list dostałam. Wiem, co pisać
może,
Ale wierszami winy nie nagrodzi,
A zresztą wcale mnie to nie obchodzi,
(pokazuje list).
Przy was roztworzę.

(czyta:)
„Kochałem... miłość była jako fala,
Co płynie z cicha w jasny dzień pogody,
A podczas burzy granity obala....
Tak kocha młody!

Widziałaś smutek na mej bladej twarzy,
Więc mnie darzyłaś spojrzeniem litości,
Tak jak żebraka jałmużną się darzy.
(mówi:)
Jak on mnie złości!
(czyta:)
Nie dla mnie uśmiech choć ginę z tęsknoty,
Nie dla mnie Twoje niewinne pieszczoty,
Nie dla mnie pierwsza z oczu spadła łezka,
Tylko.. dla pieska!

Wczoraj tak słodko płynęły nam
chwile,
Tyle radości, szczęścia było tyle
Gdyś mi szepnęła: „Nie można przy Mamie!“....

(mówi:)
Ach jak on kłamie!...
(czyta:)
Za chwilę potem, gdy Mama uśpiona
Przymknęła oczy, — tak nam było błogo,
Lecz nie tuliłem twej rączki do łona, —
Powiedz!... przez kogo?...

Bo choć nie mogła nas rozłączyć siła,
Gdy pocałunku byliśmy tak blisko,
Mopsik twój warknął... Mama się
zbudziła“.....

(mówi:)
Nieznośne psisko!
Byłam za czułą dla niego, przyznaję!
O tak, za czułą, teraz widzę sama,
Mamę obudził serce mi się kraje,
Kochana Mama!

Jutro mu każe przyjść do mnie tęsknota...
Mopsa wyrzucę.... może i bez winy,
Lecz chcę by spała raz Mamunia złota
Ze dwie godziny.

Wincenty Rapacki, (syn).

skim, a nie miały szczęścia zapewnić sobie silnej pozycyi materyalnej, usuwać z miast, gdzie wpływ ich był silnym, a tem samem „szkodliwym“. Więcej jeszcze, aniżeli owe jednostki „podejrzane politycznie“ (jak się w relacyach swych zwykła wyrażać ck. policya... w Galicyi) odczuwały despotyczną samowolę policyjną masy biednego ludu roboczego (który z prawa wolności przesiedlania się i wyboru zawodów — znał tylko jego objaw negatywny: szupaśnictwo) i ubogie gminy wiejskie i małomiejskie, którym wolno było pozbawić się sił użytecznych, ale pod żadnym warunkiem nie wolno było się wyrzekać indywiduów karygodnych lub podejrzanych, albo wreszcie do pracy niezdolnych, choćby jedynym dowodem łączności gminy z danym „obywatelem“ czy „obywatelką“ był tylko zaszły przed laty fakt urodzenia się ich we wsi czy miasteczku. Tę niesprawiedliwość ograniczającą jednostki w używaniu zasadniczych praw obywatelskich i obarczających gminy niezasłużonemi ciężarami — mą na celu usunąć nowa ustawa, na mocy której pięć lat pobytu w jakiejś miejscowości uprawnia obywatela austryackiego do nabycia prawa przynależności do niej.

Drugą ustawą, która obecnie stanowi przedmiot obrad komisyi parlamentarnych jest ustawa o święceniu niedzieli. Przepisy o święceniu niedzieli istniejące obecnie w Austryi — cechują dorywczość, jaką się odznaczają wszystkie „oderwane“ rozporządzenia prawodawcze i nie mogą odpowiedzieć wymaganiom czasu. Nowa ustawą ma na celu przepisy te ująć w pewien systemat i oprzeć je na szerokiej podstawie ekonomicznej i etycznej. W jakiej formie ustawa ta wyjdzie z łona parlamentu trudno na razie przewidzieć; — jak dotąd zapowiada się ona w szacie klerykalnych obostrzeń już obowiązujących przepisów.

Powoli postępuje też sprawa procedury cywilnej. Coraz silniej i dobitniej odzywają się głosy ujemnej krytyki projektu i kto wie, czy nie miał racyi ów głos ostrzegający parlament, aby się szybko uporał ze swemi zadaniami prawodawczemi, zanim mu przyjdzie zdać egzamin ze swojej działalności politycznej — w sprawie powszechnego prawa wyborczego.

Projekt kodeksu karnego — zda się odłożony ad calendas graecas, a potrzeba zmiany i poprawy obecnego kodeksu coraz silniej daje się uczuwać. Ostatni tydzień dostarczył dwóch jaskrawych ilustracyi obecnej ustawy karnej w Austryi: Trybunał karny sądził sprawę niejakiego Witkowskiego, sybiraka, który po powstaniu 1863 roku trzydzieści lat przebył na Sybirze, zkąd mu się udało umknąć do Austryi. Od kilku miesięcy przebywał we Wiedniu, pracując jako pomocnik mularski za wynagrodzeniem 1 złr. dziennie. Zdybany na ulicy w chwili, gdy dziecku jakiemuś dawał chleb i mleko, kupione za własne pieniądze, został aresztowany jako podejrzany o kradzież. Ponieważ stawiał opór przy aresztowaniu, policyanci pobili go ciężko, zadając mu kilka ran — jednę w głowę. Trybunał opierając się na tym materyale „dowodowym“ — skazał podsądnego za gwałt publiczny (t. zw. „kanczukowy paragraf“) popełniony przez czynny opór wobec policyantów — na c z t e r y miesiące ciężkiego więzienia. Po odsiedzeniu tej kary czeka Witkowskiego deportacya do granicy rosyjskiej, a jaki los go czeka za kordonem — domyślić się łatwo. — Drugiej illustracyi dostarczył sąd karny w sprawie prasowej przeciwko „organowi tutejszych tokarzy“ (sic!). Pisemko w szeregu artykulików, przedrukowanych z jakiegoś leksykonu, umieściło uwagę, iż naczelnik sądu karnego hr. Lameran z okazyi jakiegoś procesu wyraził się lekceważąco o ruchu socyalistycznym. P. Lameran uwagą tą uczuł się dotkniętym i przesłał pismu temu sprostowanie. Redaktor organu tokarskiego sprostowanie p. Lamerana w myśl § 19 ustawy prasowej natychmiast umieścił i w dodatku zaopatrzył przypiskiem, w którym za omyłkę w posądzeniu p. L. przeprasza. Za przypisek ten pismo uległo konfiskacie, a redaktor... karze, albowiem ustawa zabrania „urzędowe sprostowania zaopatrywać w jakiekolwiek uwagi; sprostowanie zaś nadesłane przez hr. L. uważanem być winno za urzędowe“. — Do takich konsekwencyi doprowadzają obowiązujące obecnie w Austryi ustawy karne!

Essi.

Ze Ślązka polskiego.

(Sprawy wyborcze. — Kwestya anonsów niemieckich. — Polskie biuro informacyjne).

Wiadomo jak haniebną klęskę ponieśli Niemcy przy wyborach do parlamentu w Opolskiem. Niezrażeni tem doświadczeniem przywódzcy Centrum na Ślązku wystosowali odezwy do wyborców, zalecające ponowny wybór, a odnośnie potwierdzenia komitetów powiatowych. W Opolu zawrzało. Istniały tam bowiem 2 komitety wyborcze centrowe; jeden niemiecki dawnej daty i drugi komitet polski, obrany bardzo znaczną większością głosów, a później ponownie potwierdzony. O legalności ko mitetu polskiego trudno było wątpić, mianowicie wobec pomyślnego dla nas rezultatu wyborów. Jak z kilku artykułów i korespondencyi „Gazety Opolskiej“ wynika, był zamiar zwołania wyborczego wieca polskiego, na którymby wybrano *polski komitet wyborczy dla całego Ślązka polsk.*

Cóż jest powodem, że mimo przychylnych artykułów „Gazety Op.“ myśli tej nie urzeczywistniono?

„Katolik“ bytomski nie uznał za stósowne podjąć idei komitetu prowincyonalnego, a skutek był ten, że idea ta jest znaną i podzielaną jedynie przez cząstkę ludzi. Komitet wyb. polski w Opolu, jako jedyna nasza władza wyborcza na Ślązku, któremuby z natury okoliczności przypaść musiał i zaszczyt i trud zwołania wieca wyborczego, przyszedł na podstawie tego do przekonania, że jeszcze kłosy się nie bielą.

Pomijając ten zawód, inne sprawy wyborcze rozwinęły się dla nas stosunkowo pomyślnie.

W Opolu zwołał pierwszy komitet niemiecki zebranie, na które i polscy wyborcy dość licznie przybyli. Chłopi nasi dzielnie się spisali, a mianowicie Baron i Kirschner energicznie bronili legalności komitetu polsk.

Wreszcie przyszło do zgody, która stanowczo jest dla nas korzystną, a dowodnie przekonuje każdego, że przewaga polska tu jest zapewnioną. Wybrano nowy komitet, w którego skład weszło 14 Polaków, 5 Niemców i 6 księży. Zadziwi może niejednego ta nowa klasyfikacya — ta rubryka księży. Owóż tedy księża nas i są czemś niedającem się ściśle narodowościowo określić. Gdzie Niemcy są w przewadze, tam księża na Ślązku są bezwzględnie Niemcami, lecz gdzie lud polski przeważa, jak w Opolu, tam są czemś odrębnem, pośredniem, czemś niewyraźnem.

Śliska to nieco droga ten opolski kompromis i trudno istotnie w trwałość tej zgody uwierzyć. Niemcy, będący w komitecie w znacznej mniejszości, choć i taka mniejszość nie odpowiada jeszcze proporcyi mieszkańców jednej i drugiej narodowości, która się przedstawia jak 3 : 7, nie wytrzymają komendy polskiej a i komitet prowincyonalny przyjdzie im niezawdnie w pomoc. Wtenczas energicznie popalimy mosty i wtedy może „Katolik“ raczy wraz z nami stanąć do szeregu.

Z powodu mojej ostatniej korespondencyi do pisma Waszego zdarzyło się przykre nieporozumienie: Jeden z czytelników „Przeglądu“ nie pojął zupełnie ducha i myśli przewodniej korespondencyi ze Ślązka, nie odróżnił mianowicie zwalczania pewnych niezgrabności od całej sumy czynników dodatnich i w rozmowie z pewnym publicystą śląskim przedstawił „Katolika“ jako pismo całkiem niemieckie, ponieważ raz po raz niemieckie anonsy drukuje.

Fakt sam nie zwróciłby uwagi na siebie, gdyby nie to, że bezwzględne potępienie „Katolika“ przeraziło owego publicystę ślązaka, który pod względem anonsów niemieckich również jakoś czystego nie miał sumienia.

Należy wobec tego wyjaśnić stanowisko, jakie w sprawie zamieszczania anonsów niemieckich zajmujemy. Wiadomo, że wiele firm znaczniejszych własne posiadają klisze, które do tej lub owej gazety przesyłają. Wiadomo również, jak wielką rolę odgrywają anonse w budżecie gazet, mianowicie mniejszych. Odbierając klisz niemiecki, niektóre gazety polskie na ślepo anons drukują. Taką procedurę należy potępić, tym więcej tam, gdzie położenie finansowe pisma nie koniecznie do połączonego z tem zarobku nagli. Krótkie zapytanie ogłaszającej firmy, czy obstaje przy ogłoszeniu w języku niemieckim, lub czy nie zechce raczej ogłoszenia polskiego, którego skuteczność w piśmie polskiem musi z natury rzeczy być wiele większą, wystarczy całkiem, aby kupca zniewolić do ogłoszenia polskiego i zysk z anonsu sobie zatrzymać. Gdyby niespodziewanie taki jegomość miał przekładać rzekomą obronę niemieckości ponad zysk z ogłoszeń płynący, w takim razie i redaktora pisma polskiego starczyć powinno na ofiarę ze siebie i na odmówienie ogłoszenia.

Życzyćby należało, aby ci, którzy o Szląsku chcą rozprawiać, nie ograniczali się jedynie na korespondencyach, w poznańskich pismach ogłaszanych, lecz przynajmniej jedno śląskie pismo zaabonowali.

W ciągu przyszłego lata otworzone ma być w jednem z większych miast Ślązka polskie biuro informacyjne i wywiadowcze. Jest to na pozór niby małe zdarzenie, lecz w tutejszych stosunkach może taka instytucya wielkie oddać usługi polskości, byle umiejętnie była prowadzoną — co daj Boże.

Chim.

Z powodu dwuchsetnej rocznicy urodzin Woltera.

Dzienniki paryzkie zamieściły temi czasy niemałą ilość artykułów o Wolterze z powodu dwóchsetnej rocznicy jego urodzin, przypadającej na dzień 23 listopada. Wydawany od lat kilkunastu dziennik „Le Voltaire“, chcąc uczcić swojego „patrona“, postarał się za pomocą interviewów zebrać opinie współczesnych znakomitości o Wolterze. Opinie te są różne, często sprzeczne, lecz ciekawe, chociażby z tego tylko względu, iż dzieła Woltera, zwłaszcza treści historycznej, rozchodzą się jeszcze teraz corocznie w kilku edycyach, co wykazuje, jak wielki jeszcze wpływ wywiera Wolter na współczesną nam epokę. Z obfitej wiązanki „opinij“, zebranych za pośrednictwem dziennika „Le Voltaire“, przytaczamy ciekawe wyjątki.

August Vacquerie. Wolter jasno formułował swoje poglądy i jasno je wyrażał. Trzeźwością swego umysłu i jasnością swego stylu podbił on Europę i narzucił jej francuzki sposób myślenia. Z tego względu uważam go za dobrodzieja Francyi, a jako myśliciel i śmiały pogromca wszelkich nadużyć Wolter jest zarazem dobrodziejem całej ludzkości.

Henryk de Bornier.. Jeżeli stawiam sobie pytanie, czy Wolter, jako pisarz dramatyczny, ma dzisiaj wpływ na autorów, piszących dla sceny, — odpowiadam stanowczo: nie! Po za teatrem i poezyą, Wolter jest nam współczesny.

Gustaw Larroumet. Nasz sposób myślenia, pojmowania, czucia i pisania, dowodnie wykazuje, iż wszyscy jesteśmy dziećmi Woltera. Mniej go czytamy, aniżeli czytali nasi ojcowie, lecz przeszedł on w kości i krew naszą. Żaden z pisarzy francuzkich, nawet Molière nie uwydatnia sobą tak dokładnego typu francuza, jak Wolter. Aucun écrivain n'est plus Français, que lui.

Ksiądz Didon. Podziwiam Woltera, jako genialnego pisarza, lecz potępiam jego zasady: nie przestanę walczyć przeciwko niemu, bo tak mi nakazuje stanowisko ucznia Chrystusowego.

Mézières. Wolter jest to zdrowy sens z natchnieniem geniuszu. Ilekroć naród francuzki dostrzega swoje wady i śmieszności, jest

wtedy godnym synem Woltera, wyrzeka się zaś tego wielkiego rodzica swojego, gdy popada w małostkowość, grubiaństwo i szarlatanerye.

Juliusz Simon. Tak, zapewne, mam ja zdanie wyrobione o Wolterze, lecz jest to umysł tak wszechstronny, iż sądu mojego nie mogę wyrazić jednem tylko zdaniem. Wolter jest bardzo rozmaity, jako pisarz i myśliciel, ja też mam o nim wielką rozmaitość opinii.

Paweł Maurice. Geniusz Woltera czerpał swą siłę w miłości ludzkiej, a wsparty na tej zasadzie, na zawsze pozostanie żywotnym.

Clemenceau. Jestem wiernym wielbicielem geniuszu Woltera.

Juliusz Claretie. Wielki umysł Woltera był słońcem, oświecającem swoją epokę a promienie tego słońca nie przestają świecić i dla nas, przedostając się zwycięzko przez mgły skandynawskie i inne, któremi jesteśmy oblężeni.

Stefan Mallarmé. Z biblioteki, tworzącej dzieła Woltera, usuwam na bok jego tragedye i poezye epiczne, lecz inne jego utwory, jak listy i powiastki, należą do skarbów literatury francuzkiej.

Piotr Laffitte (w imieniu pozytywizmu). Wolter zajmuje ważne stanowisko w przeszłości. Wpływ jego był olbrzymi, a zarazem dodatni, wprost różny od wpływu Rousseau.

Leon Cléry. Wolter miał wady, a nawet wielkie wady. Wiersze jego niewiele są warte i popełnił zbrodnię, pisząc „la Pucelle". Był dworakiem i schlebiał królowi pruskiemu... Lecz wady Woltera były wadami epoki ówczesnej, podczas gdy zapał, z jakim bronił prześladowanych, powodowany wzniosłością i czułością serca, czyniły go i czynią wielkim. Wdzięczność nasza względem jego zasług powinna stawiać mu pomniki.

Clovis Hugues. Wielkość Woltera, jako pisarza, nie jest równomierna. Wiersze jego są ciężkie. Natomiast w jego prozie — ileż jest lekkości, wdzięku i miękkości! Jego „Kandyd" jest arcydziełem misternie utkanem z najzdobniejszych piór kolibra.

Maurycy Barrès. Jako człowiek czynu Wolter był niezrównany. Jego wstawienie się i powszechnie znana polemika w sprawie kawalera de la Barre, w sprawie Sirven, rodziny Calas, wieśniaków z Saint-Claude — zasługują na uznanie najwyższe, ilekroć razy o tem wspomnimy. Co zaś do jego erudycyi oraz filozofii, mają one jedynie doniosłość z tego powodu, iż służyły mu do zgłębienia przeciwników, z którymi rozpoczynał walkę. Tak, Wolter był wielkim, lecz dzisiaj przestał mieć dla nas doniosłość wielkości współczesnego męża. Jego „Kandyd" jest jednym z drogocennych klejnotów literatury francuzkiej, lecz napisanie arcydzieła nie wystarcza, by mógł on nazawsze zawładnąć naszemi umysłami. Wolter, ten wielki mąż przeszłości, który przez czas długi był elementem rewolucyjnym, dziś stał się już w zupełności elementem konserwatywnym. Wolter pozostaje wielkim tylko odnośnie do swej epoki, nad którą górował, dzisiejsze zaś poglądy uszły dalej i górują nad jego poglądami.

NA WYŁOMIE.

(Z tajemnic „Koła polskiego". Pogrzeb lojalizmu. Obchód listopadowy. Odezwa do inteligencyi. Sokoły. Humorystyczne).

Przez gęste story, któremi osłonięto drzwi i okna Koła polskiego w Berlinie, przekrada się niekiedy jakiś dźwięk oderwany i biegnie cichuteńko od strzechy do strzechy lub zgrzytnie ku przerażeniu mistrzów maskarady w dziennikarskich kuźniach naszych *enfants terribles.* Pamiętam dobrze popłoch niezwykły w mieście i prowincyi, gdy pewnego wieczoru jeden z dzienników poznańskich rozgłosił światu tajemnice dyskusyi w sprawie wojskowego projektu. Tak szczelnie pozatykano wszystkie lufciki i szparki, tak starannie zaryglowano wszystkie drzwi i furtki, tak dokładnie pozalepiano nawet dziurki od kluczy, a tu jakiś sprytny reporter machnął piórem, sfotografował mówców, rozwiązał zagadkę. *Qui diable?!* Czy Zygrydowską „Tarnkappe" odziedziczył w spadku po Nibelungach? Czy u Edinsona zamówił miniaturowy fonograf i umieścił go za dyskretnym piecem? Nie wiem, najmilsi! Ale to pewna, że reporterskiej blagi nikt rewelacyi jego nie zarzucił, — było to odkrycie bez aparatu fantastycznych kombinacyi, demaskujące pewne osobistości, rozkochane w wygodnych dominach dyplomatycznych.

Dziś znowu jakieś interesujące *„On dit"* kursuje po mieście, a ludzie kręcą głowami, uśmiechają się filuternie lub z świętem namaszczeniem „mężów ładu i pożądku" ciskają grom Jowiszowy na... na... cyt! nie powiem. Wy tak często, pieczętujcie usta, — pozwólcie zatem, że i ja, choć raz jeden w życiu, zabawię się w ciuciubabkę.

Mówią tedy, że poseł pewien, rysujący się długo na horyzoncie politycznym jako żywy znak zapytania, poddał na ostatnim posiedzeniu koła polskiego zjadliwej i druzgocącej krytyce wielkie organy prasy poznańskiej, a w końcu godzinnego plaidoyer, nieustraszony amboną i egzocyzmami naszych autorytetów, podniósł do wyżyn politycznej powagi pewne wyklęte, mianem katylinarnej egzystencyi piętnowane pismo. I padł strach wielki na rzesze wybrańców narodu. Cóż to? Nie pomogły dekanalne okólniki? Nie pomógł bojkot i kuryerowe „Ukrzyżuj"? Niestety! Zawiodły wszelkie mikstury i hydra buntu znów śmiało głowę podnosi. Mniejsza już o to, że tam ci panowie „doktrynerzy" z Młodej Polski raz po raz do chóru opinji publicznej swoje trzy grosze dorzucą i djabła proszą w kumotry, ale tu w świętym przybytku Koła polskiego, w tem *sanctisimum* „przyzwoitości" i lojalizmu taki skandal, taki „advocatus diaboli", gwałtu! koniec świata! ziemio drzyj i wy gwiazdy spadajcie!

Już to Koło polskie zgotowało w ostatnim czasie kilka prawdziwych niespodzianek społeczeństwu polskiemu. Zanosiło się wprawdzie na to oddawna, że prądy ultralojalizmu spokornieją nieco po ostatnich cukierkach rządowych, ale sądzono powszechnie, że pewne względy i względziki, pewne poznańskie patronaty i kamaryle tak zręcznie osłonią pogrom Stańczyków naszych, że oko ludzkie nie prędko ujrzy zewnętrzną markę ich klęski. Stało się jednak inaczej. Zarząd Koła polskiego ujawnił niespodziewanie fizyonomję dziwnie odmienną, a jeżeli charakterystyczny rezultat wyborów nie jest owocem postronnych niechęci, uprzedzeń i ambicyi, lecz wiernem odbiciem politycznych przekonań naszej frakcyi parlamentarnej, to niezadługo ustawimy wielki katafalk, zapalimy dwanaście gromnic i złożywszy w metalowej trumnie cudzołożną kokietkę dworską, która tak długo za nos wodziła cały zabór pruski, uderzymy w hymn pogrzebowy: *Requiescat in pace!*

Niechaj śpi spokojnie politycznych marzycieli gromada. Być może, że inni kląć będą ich pamięci, — ja im w mogiłę nie rzucam przekleństwa. Nie wierzyłem nigdy, by ten wytworny orszak tronowych zelotów pod płaszczem dyplomacyi osobiste cele ukrywał, — było to grono fantazyuszów uwiedzionych olśniewającą zręcznością posła-poety, tłum ścigający po trzęsawiskach błędne ogniki w głębokiej wierze, że tam jest jutrznia narodu. Obowiązkiem naszym łamać błędnych rycerzy wpływ i potęgę, ale nikt nie ma prawa na ich mogile wołać: *Iskarjoty!*

Z pomyślną wróżbą na ustach kona rok stary. Syn jego może nowe nam przyniesie hasła i w organizm wyziębiony lodowym prądem lojalizmu krwi gorętszej strumienie wprowadzi. Tak nas studzono systematycznie, tak jednostronnie rozwijano program pracy organicznej, że myśl o jutrze narodu rozpływała się w smutnych przeczuciach. Smutne przeczucia? O! tak Zakradły się one w głąb duszy i skarżyły się gorzko, niekiedy jękiem żałosnym a niekiedy zjadliwą, lecz w łzach serdecznych wykąpaną ironią; skarga ta nie była samotnym dźwiękiem, — słyszałem ją nieraz w gronie duchów goręszych, — słyszałem ją w tłumach na obchodzie rocznicy listopadowej w teatrze polskim. Teatr istotnie dziwne miał oblicze. Loże, krzesła i galerye zajęła niemal wyłącznie „niedzielna" publiczność, — lud i warstwy średnie; lecz „ojców narodu" szukałem napróżno: z sobotnich premier zaledwie nieliczne jednostki zjawiły się na święcie listopadowem. A nie sądźcie panowie, że ten hufiec najmłodszych braci nie odczuł waszej nieobecności. Tam w lożach i przedsionkach padały dziwne słowa, — z melodyą żalu łączył się dźwięk potępienia i krwawego sarkazmu.

Ot! dwóch rzemieślników stanęło opodal i gwarzy. Uszu moich dolatują gniewne okrzyki. Sarkają na „panów poznańskich", mówią „o patryotyźmie, który dziś wśród ludu szukać musi przytułku", a jeden z nich znak rezygnacyi ręką nakreślił i szepnął: „Co tam się na panów oglądać? Obędziemy się bez nich, a Polska nie zginie."

Miałem ochotę zbliżyć się, uścisnąć spracowaną rękę polskiego rzemieślnika i powiedzieć mu, że te słowa jego są dla mnie najpiękniejszym momentem uroczystego wieczoru, ale on snać zrozumiał mój zamiar i takiem spojrzeniem mnie obrzucił, że odczułem całą potęgę nieufności, cały ferment poruszający wielki tłum ludu. Kto winien tej przepaści, z dniem każdem głębszej i szerszej? Powiecie może: *„Orędownik"* i *„Postęp"*! To zwykła odpowiedź. Ile razy w gronie inteligencyi pojawi się kwestya stosunku najmłodszych braci do inteligencyi lub szlachty, ile razy ktoś lamentować pocznie nad rozdarciem społeczeństwa i nienawiścią klasową, wnet zjawia się stara piosenka o dwóch burzycielach i bez ceremonii: Hejże na Soplicę! A przecież uderzmy się w piersi. I my nie jesteśmy bez winy, bo do zaufania ludu praw rościć sobie nie powinna inteligencya, trzymająca się z zadziwiającą konsekwencyą w „należytym dystansie" od — „tłumu". Któż dziwić się może wpływom pana dr. Szymańskiego lub Knapowskiego? Toż oni te wpływy zdobyli sobie mozolną pracą wśród ludu, toż ich pełno było na wszystkich zebraniach, we wszystkich towarzystwach i związkach. Lud umie rozróżnić frazes od czynu i czcić umie tych, którzy z nim, w nim i nad nim pracują. A wy panowie, wy którzy się skarżycie, że lud zaufaniem swojem was nie darzy, czyż pomyśleliście o tem, że ową tak często powtarzaną maksymę *„do ut des"* zamieniacie w postulat prostej darowizny? Ileż to razy np. mówiliście do mnie o wzniosłej idei sokolej, ileż to entuzyazmu widziałem na obliczach waszych, gdy dziarskie drużyny Sokołów w pięknych mundurach sunęły przez ulice miasta — ale to tylko słowa, to ogień słomiany, co błyska i ginie po chwili. Na wieczornicach, na zebraniach miesięcznych, w sali gimnastycznej inteligencya świeci stale nieobecnością. Młodzież kupiecka i rzemieślnicza kupi się około sokolich sztandarów, hartuje ciała, rozpala serca i z żalem wspomina tych „starszych braci", którzy w teoryi hołdują idei demokratycznej, lecz wspólnego z ludem unikają stołu. A przecież tam serca biją gorące, tam myśl narodowa przenika wszystkich, tam warto zaiste pracować!

* * *

Humorystyczne.

Na listopadowym obchodzie w teatrze polskim odegrano dramatyzowany „Prolog" pióra dr. Rabskiego, którego treścią jest hołd królów i wodzów polskich, oddany w podziemiach Wawelu nieśmiertelnemu wieszczowi. U stóp Adama składa Stefan Batory królewską koronę, a Tadeusz Kościuszko wieniec cierniowy z prośbą o błogosławieństwo dla uciśnionej ojczyzny. Nie spodobało się to oczywiście autorowi wierszowanych tłomaczeń Apokalipsy, *księdzu Adamskiemu*, i taką w „Kuryerze Pozn." zamieścił notatkę:

„Szanowną Redakcyę upraszam o umieszczenie w „Kuryerze“ następującej uwagi:

Wielce rażącym wydał mi się w Prologu p. Rabskiego ten poddańczy hołd w osobach Batorego i Kościuszki składany Mickiewiczowi. Takie poniżenie jednych wielkości celem wyniesienia drugiej, im równej, będąc pokrzywdzeniem prawdy, może się tylko przyczynić do zamięszania pojęć“.

Oto próbka krytyki poznańskiej. Przekazuję ją potomności *ad aeternam memoriam.*

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Książki dla dzieci i młodzieży. Zwykle w miesiącu listopadzie pojawia się corocznie znaczna ilość książek dla dzieci i młodzieży, nadchodząca bowiem gwiazdka zwiększa starania wydawców w tym kierunku. Tegoroczny plon jednak jak do tej chwili jest bardzo mały — widzimy bowiem na półkach księgarskich niewiele tego rodzaju nowości. Trudno nam wytłomaczyć przyczynę tego zastoju, bo książki dla dzieci i młodzieży cieszą się stosunkowo znacznym popytem. Może jest to tylko opóźnienie.

Z wydanych do tej pory książek cztery przezna czone są dla dorastającej młodzieży.

Pierwsza z nich to „Dziedzice Otoka“ powieść przez znaną autorkę — kryjącą się pod pseudonimem, a raczej pod imionami Teresa Jadwiga (nakład Gebethnera i Wolffa). Autorka opowiada dzieje lat kilkudziesięciu, w których zmieniali się dziedzice majątku, a raczej, w których dziedzictwo Otoka spoczywało w rękach nowych członków jednej rodziny. Piękna tendencya przyświeca z kartek książki: należy trzymać się ziemi, naprawiać błędy i lekkomyślność poprzedników, pilnować choćby z poświęceniem siedziby ojców, stworzyć dla ludności miejscowej ognisko pracy, cywilizacyi, podniesienia cnót i ducha. Zajmujące opowiadania podnoszą zalety literackie: piękny obrazowy styl i czystość języka.

Autorem drugiej książki wydanej nakładem tychże wydawców, a noszącej tytuł: „Podróż bez pieniędzy“ jest pan Władysław Umiński, autor „Żeglugi w powietrzu“, z której niedawno zdawaliśmy sprawę. Dwóch podróżników Włoch i Polak, korzystając z zawinięcia okrętu do przystani na Sumatrze, zrobili wycieczkę i zaskoczeni walką z krokodylami, nie mogli powrócić na czas do okrętu, na którym pozostały rzeczy ich i pieniądze. Rozpoczynają się więc ciekawe przygody dwóch ludzi inteligentnych, pozostawionych na łasce losu. Streszczczenie tych przygód zajęłoby zbyt wiele miejsca. Dość, że z Sumatry dostają się do Chin, później do Japonii, z tamtąd do Ameryki. Polują na tygrysy, staczają walkę z chińskimi rozbójnikami, służą jako palacze na parowcu, są bohaterami reklamy w Stanach Zjednoczonych itd. Nie należymy do zbyt wielkich zwolenników tego rodzaju opowiadań, ale przyznać musimy p. Umińskiemu zręczne wyzyskanie przedmiotu, dar opowiadania, umiejętność zaciekawienia młodego czytelnika, oraz inne przymioty od opisywania podobnych przygód wymagane.

Trzecią książką jest „Walka“ (nakład T. Paprockiego). Są to epizody z wojny francuzko-pruskiej z oryginału francuskiego przerobione przez Teresę Jadwigę. Z czego przerobione tytuł nie podaje, a więc wyręczamy wydawcę, zaznaczając, że jest to skrócenie powieści Zoli: La Debâcle. Wobec tego odkrycia autora i oryginału zbytecznem jest, a raczej spóźnionem podawanie treści „Walki“.

Czwartą wreszcie książką są: „Wycieczki w krainę flory“ (Warszawa G. Centnerszwer). Jestto popularnie napisane dzieło znanego botanika K. Müllera. Składa się z dwóch części. Pierwsza jest poniekąd teoryą wyświecającą umiejętnie zjawiska roślinności, druga jest rodzajem podróży botanicznej po krajach biegunowych, amerykańskich, azyatyckich, afrykańskich i australskich. Opowiadanie nie zapuszcza się w szczegóły, dotyczące rośliny jako istoty odłączonej od całości świata, lecz uważa ją za członka tej całości. Nietylko zatem zgadza się w zasadniczym charakterze z geografią botaniczną, o ile śledzi prawa rozsiedlenia roślin, ale sięga jeszcze dalej, ponieważ łączy dzieje roślinności z dziejami ziemi, zwierząt i ludzkości. Usiłuje wykazać ścisły związek między światem gwiazd, ziemią, rośliną, zwierzęciem i człowiekiem, a tem samem wyprowadza czytelnika z ciaśniejszej dziedziny roślinności w dziedzinę zapatrywania się na całość przyrody. Jest to więc botanika kosmiczna, dająca pogląd na ogół zjawisk przyrodniczych. Trzysta ładnych rycin, przedstawiających nietylko rośliny ale i rozliczne krajobrazy, objaśnia te „Wycieczki w krainę flory“, do których zalet należy i taniość wydawnictwa.

Dla dzieci od lat 10 do 12tu mamy dwie nowości nakładu Gebethnera i Wolffa. W „Dobrej wróżce“ przełożonej wolno z francuskiego przez p. Anielę Sulicką widzimy troje dzieci przyzwyczajonych do miasta i zbytku, przeniesionych na wieś do krewnych, wskutek pogorszenia się stanu majątkowego i choroby rodziców. Z początku zdaje im się, że spotkało ich nieszczęście, pomału jednak przyzwyczajają się, oduczają grymasów i czują się szczęśliwe. Tendencya moralna jest bardzo dobrze wpleciona, szkoda tylko, iż tłomaczka więcej oryginału nie „spolszczyła“ w ścisłem znaczeniu tego słowa. Nie dość bowiem dać polskie nazwiska miejscowościom i ludziom; czytający co chwila czuje, iż jest to tłomaczenie, bo u nas na wsi i dzieci nieco inaczej się bawią i inne bajki opowiadają i nie znajdują małych murzynków w stodołach. Nieco więcej spolszczenia w tym przekładzie, a książka byłaby całkiem dobra. — „Chatka pod lasem“ p. Stefana Gębarskiego składa się z kilkunastu opowiadań, wierszy i komedyjki. W opowiadaniach przeważają przygody myśliwskie i opisy przyrody. Młody czytelnik znajdzie się i nad Bałtykiem i w Tatrach, w Ojcowie i w Złotym Potoku. Ta swojskość terenu jest bardzo dodatnią stroną „Chatki pod lasem“. Dość humoru, lubo zbyt naiwnego ma opowiadanie „Przygody Kazia“ i komedyjka „Na wakacyach“, której bohaterem jest kilkunastoletni poeta nie chcący się uczyć....

Dla dzieci mniejszych wyszła nakładem p. Arcta książeczka: „Moje dzieci, opowiadanie mamusi,“ przez Antoninę Dornańską. Wątpić należy, czy mali czytelnicy bardzo zainteresują się treścią dość nudną. Wadą książki jest i język. Dowiadujemy się, iż „Jerzy u t r a p i a się nad matematyką“, że „nastąpiło silne z d e r z e n i e“ i t. d. Dla małych dzieci niezrozumiałe są zapewne wyrażenia jak: „ex niańka“, lub z „tych danych“ Takie znów wyrażenia jak „już ryczysz“, „ty obrzydliwico“ nie koniecznie zasługują na pochwałę, a jest ich dosyć w tym samym gatunku. Wątpić wreszcie należy, ażeby „mama po kilkunastu minutach d w a a r k u s z e g ę ś c i u t k o zapisała“ — musiała to być chyba wielka literatka, bo zwykły literat przez kilkanaście minut g ę ś c i u t k o i jednej strony arkusza nie zapisze.

„Zabawki w wolnej chwilce w pokoju i ogródku (nakład Himelblaua) są zbiorem ładnie wykonanych rycin ze zgrabnemi wierszykami i odpowiednie są na podarek dla dzieci od lat 5—8.

Na koniec zostawiliśmy książkę „W ogródku dziecięcym“ (nakład Gebethnera i Wolffa). Ten zbiór zabaw marszy i piosenek z zastosowaną do nich melodją ułożyły pp. Jadwiga Warnka i Ludwika Jahołkowska. W obec rozszerzenia się u nas metody freblowskiej potrzeby takiego zbioru zbytecznem byłoby dowodzić. Autorki korzystały z wzorów obcych, przeważnie Kohlera, którego ładniejsze gry przetłomaczyły. Dalej przerabiały lub naśladowały wiersze swojskie, których treść może być zajmującą dla dziecka, ale forma jest zbyt trudną i niedostępną. Wreszcie układały gry oryginalne, do których pomysły nasuwały nieraz same dzieci. Melodje zastosowały przeważnie ludowe, dbając o ich łatwość i dostępność dla skali dziecięcego głosu. Obok piosnek znajdują się w książce zabawy naśladujące czynności ludu, stosunki zwierząt i zjawiska natury. Odrębny dział stanowią zabawy, mające rozwijać zmysły niejednokrotnie w dzieciach przytępione. Jest to więc książka prawdziwie pożyteczna.

K. B.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne „Nowoje Wremia“ potwierdza wiadomość o dymisyi Hurki. — Japończycy prawie bez oporu ścieśniają pierścień żelazny, którym otoczyli Peking. — Komisya porządkowa parlamentu niemieckiego odrzuciła 9 głosami przeciw 4 wniosek o pociągnięcie dep. Liebknechta i towarzyszy do odpowiedzialności przed sądem za obrazę majestatu. — „Dziennik Pozn. protestuje powtórnie z całą energią przeciw urządzeniu jakiejkolwiek żałoby narodowej. — Pan E. Jerzmanowski ostrzega w liście otwartym, wystósowanym do czasopism polskich, przed emigracyą do Ameryki.

Wystawy. Warszawską wystawę hygieniczną odroczono do r. 1896. — W Berlinie urządzono interesującą wystawę okrętową w gmachu „Panoramy marynarki.“

Teatr i muzyka. Na obchodzie Mickiewiczowskim w teatrze poznańskim odegrano Prolog dramatyzowany redaktora pisma naszego Wład. Rabskiego p. t. „W podziemiach Wawelu“. Z artystów miejscowych, biorących udział w przedstawieniu zasługuje na uznanie najwyższe mistrzowska gra panny Wróblewskiej, która rolę „Anioła śmierci“ oddała z porywającą siłą uczucia. Niemniej p. Skirmunt w roli zwiastującego odrodzenie Polski wieszcza Adama wzruszył świetną deklamacyą do głębi słuchaczy, a pp. Sosnowski i Królikowski w rolach Stefana Batorego i Tadeusza Kościuszki złożyli nowe dowody prawdziwego talentu grą szlachetną i pełną bolesnej powagi. Fatalne oświetlenie psuło nieco wrażenie utworu. Z amatorów występujących zjednała sobie gorące uznanie p. M., która pięknym altowym głosem deklamowała „Loteryę“ Ordona. Chór męzki pod kierownictwem p. Dembińskiego jun.), grę na fortepianie panny S. i żywe obrazy układu artystymalarza p. Łaszczyńskiego powitano burzą oklasków. — We wtorek odegrano na scenie naszej znany melodramat p. t. „Dwie sieroty“ Liryzm panny Zimajer święcił tu tryumf prawdziwy. W czwartek wystawiono na benefis pani Łaskiej wesołą, choć miejscami arcyniesmaczną i przeładowaną niepotrzebnie farsę p. t. U b o g a d z i e w c z y n a. Beneficyantka, pomijając śpiew niefortunny, odtworzyła rolę praczki wiedeńskiej z życiem, swobodą i sympatyczną filuteryą. Pan Trapszo w roli Don Juana bulwarowego porywał siłą charakterystycznego komizmu, a sekundował mu dzielnie pan Knapczyński grą jak zwykle nieco drastyczną, ale pełną werwy i humorystycznego zacięcia. Prześliczny śpiew pana R a p a c k i e g o zjednał sympatycznemu artyście zasłużone oklaski — Artysta teatrów warszawskich pan Ł a d n o w s k i rozpoczął szereg występów na scenie lwowskiej. — Oprócz Heleny Modrzejewskiej wystąpi na poznańskiej scenie artystka warszawska pani F e d e r o w i c z o w a. — Pani A d o l f i n a Z i m a j e r ukazała się na scenie lwowskiej, powitana sympatycznie przez krytykę i publiczność. „M a z e p a“ Słowackiego w przekładzie p. Puszkarewa ukaże się wkrótce na deskach teatru petersburskiego Kononowa. — W Monachium wystawiono po raz pierwszy operę Smetany „D a l i b o r“. — Nowy dramat Ryszarda Vossa p. t. „Der König“ ukaże się wkrótce na deskach berlińskiego Deutsches Theater. — Zapowiedziane występy Modrzejewskiej na scenie warszawskiej nie dojdą do skutku. Pod zarzutem plagiatu pozostawał W i k t o r y n S a r d o u; oskarżycielem, a raczej oskarżycielką znakomitego dramaturga, była panna Rousseil, która utrzymywała, że przysłała mistrzowi do oceny sztukę swoją p. t. „Judith“, on zaś skorzystał z treści i na jej tle osnuł swoją „G i s m o n d ę“. Zarzut ten wywołał wielkie wzburzenie wśród wielbicieli Sardou. W celu rozstrzygnięcia kwestyi, w tych dniach zgromadziła się komisya dramatycznych autorów. Sardou przyznał, że panna Rousseil przysłała rękopis sztuki swej, którego on jednak wcale nie czytał: komisya zbadawszy go dokładnie, przekonała się, że jest to po prostu scenaryusz dramatu, który nie posiada żadnych wspólnych cech z „Gismondą“, ani w założeniu ogólnem, ani w przeprowadzeniu szczegółów, w skutek czego zarzut panny Rousseil uznano za niesprawiedliwy i pozbawiony wszelkiej podstawy.

Znany archeolog i etnograf poznański pan radzca **Dr Koehler**, wygłosił na publicznem posiedzeniu Tow. Przyj. Nauk odczyt p. t. „Górale zakopańscy i ich zwyczaje z przedstawieniem ich domowych wyrobów“.

Z m a r l i :

Sabała Krzeptowski, słynny przewodnik tatrzański, bajarz i poeta, zm. w Zakopanem 8 b. m.

Ferdynand Lesseps, znany twórca kanału suezkiego, autor dzieł znakomitych z dziedziny inżynieryi, zm. 8 b. m. w Paryżu.

Jan Till, rodzajowy malarz niemiecki, zm. w Wiedniu w końcu ubiegłego miesiąca.

Dr. F. Buchanan Whyte, znakomity botanik i geolog szkocki, zm. 4 b. m. w Szkocyi.

BIBLIOGRAFJA.

Brzęcki. Godzina w krainie śmiechu. Warszawa 1895.

Witold Leitgeber. Straszne rozczarowanie. Kraków 1894.

Odpowiedzi Redakcyi.

Dwójka. Ogłosimy, ale wyrażamy życzenie, aby tłomaczki odsłonić raczyły anonim. Redakcya nazwisk oczywiście nie zdradzi.

P....ski. Przesyłki nie odebraliśmy. Odnośne zapytania na poczcie nie wydały żadnego rezultatu.

Ks. — wicz. Klerykalizm a duchowieństwo i kościół to nie identyczne pojęcia. Komentarze, które Sz. ks. Dobrodziej radzi nam zamieścić są zbyteczne dla czytelników inteligentnych. Nad głosami tych, którzy tendencyjnie przekręcają artykuły nasze, przechodzimy do porządku dziennego. Na ludzką perfidyę, przewrotność i fanatyzm nie ma lekarstwa. Za słowa uznania dla redakcyi „Przeglądu“ dziękujemy serdecznie.

100 b. Dzieł traktujących o budyźmie i stosunku jego do chrześcijaństwa ukazało się w ostatnich latach niemało. Polecamy książkę Leona de Rosny, świeżo wydaną w Paryżu.

Składki.

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

P. p. Twardowski Comp. Bryliński 10 mk., M. W. mecenas 10 mk. Ogółem zebraliśmy dotychczas 662,75 marek.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.